SUMIENNY KONKURENT

STUDYUM KARNAWAŁOWE

PRZEZ

JANA ZACHARYASIEWICZA.

98813

WARSZAWA.
Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa.

—

1875.

UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIB.
268798

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 (19) Января 1875 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0145608

W Drukarni J. Jaworskiego. Krakow.-Przedm. Nr. 415.

W/163/03

N. 1.

W salonie ładnie przystrojonym siedziały trzy młode kobiety. Jedna była szatynka, miała włosy karbowane, wysoko napiętrzone, i jasno-orzechową sukienkę ubraną w koronki. Druga rozpuściła jasno-bląd włosy na pulchne ramiona, przesłonione z lekka suknią różową. Trzecia brunetka, miała fryzurę *à la Pompadour*, suknię szafirową i oczy czarne. Z żywéj, dowcipnéj rozmowy i głośnego śmiechu, można było od razu poznać niecierpliwe kandydatki do stanu małżeńskiego.

— Powiedz mi Luniu, — ozwała się szatynka do sukni różowéj — wiele odkoszów zamyślasz dać tego karnawału?

— Ja? — odrzekła blada blondynka — alboż to odemnie zawisło?

— A od kogóż?

— Od konkurentów nieprzezornych!

— Od konkurentów nieprzezornych?.... Każdy takim będzie, jeżeli sama zechcesz!

Blondynka zwiesiła główkę i zamyśliła się.

— Jabym tego nigdy nie chciała! — odrzekła po chwili—bo cóżby mi z tego przyszło?

Szatynka rozśmiała się głośno.

— Ach Luniu! — zawołała śród śmiechu —

jesteś jeszcze dzieckiem mimo lat.... jesteśmy same... mimo lat dwudziestu!

Blada Lunia zarumieniła się.

— Czyż to już tak wiele?—wyszepnęła cicho i spuściła ciemno-szafirowe oczy do ziemi.

— Wiele nie jest,—żywo podjęła szatynka— ja jestem już po dwudziestym..... ale co innego jest mieć lat dwadzieścia kilka i dać pół tuzina odkoszów, a co innego skończyć lat dziewiętnaście, bez żadnego zdeklarowanego konkurenta!

Brunetka w szafirowéj sukni słuchała słów tych z wielką uwagą. Wzięła rękawiczkę do ręki i zaczęła bawić się guziczkiem.

— Czy sądzisz Misiu, — ozwała się półgłosem — że to grzechem jest dla panny, jeśli do lat dwudziestu nie miała żadnego konkurenta? Widać, że dotąd jeszcze nikomu się nie podobała, czyli raczéj, że jéj się nikt nie podobał.

— Ach! umrę z waszéj naiwności, — żywo odparła szatynka — albo otwarcie wam powiem, że zostaniecie staremi pannami! Panna powinna się zawsze i wszystkim podobać; powinna wszystkiemi sposobami starać się o to, aby w koło niéj było tłumnie i głośno, tak samo jak na targu...

— Ależ Misiu, — przerwała zarumieniona blondynka — gdzie targ, tam jest kupiec i towar, ale uczucia i serca tam niema!

— Kupiec i towar! Brzydkie na pozór słowa w sprawach serca!... ale powiedz mi Luniu, tak szczerze i otwarcie, czy w gruncie rzeczy nie jesteśmy towarem lub kupcem, mimo wszelkiego naszego starannie wykrochmalonego idealizmu?

— Żarty twoje idą dzisiaj za daleko kochana Misiu!

— Żartami nazywasz prawdę bez obłudy. Być może, że dawniéj ludzie byli inni, że stosunki życia nie wiązały się tak ściśle z rzeczywistością, że zgoła można było spokojnie marzyć i po wyśnione mary ręką sięgać. Wtedy to stworzono owe słowo: miłość—i o tem pięknem słowie pisano księgi, jako kodeks obowiązujący dla kobiet. Dzisiaj zmieniły się rzeczy. Z każdym rokiem przybywa nam więcéj potrzeb, a coraz mniéj mamy pieniędzy. Jakże z zdzisiejszych marzeń wyrugować pieniądze? A gdzie mowa o pieniądzach, tam niepodobna wymazać słowa: kupiec i towar!

— Mówisz nieznośnie!

— Bo chcemy być obłudnicami, chcemy się jeszcze stroić w sterane szaty idealizmu,—a tym czasem na widok bogatego konkurenta bije nam głośno serce, podczas gdy tysiące ubogich młodzieńców bez żadnego wrażenia koło nas przechodzą! Bądźmy szczere i otwarte, chociażby tylko dla siebie samych, a mniej będziemy miały rozczarowań i mniéj żalu do świata i ludzi!

Poetyczna Lunia zamyśliła się a wyraz smutku przebiegł po jéj bladéj twarzy. Nie chciała ona za nic w świecie pozbyć się swoich przekonań; ale doświadczona szatynka uśmiechała się z ironią, patrząc na poetyczną pozę towarzyszki i wierząc w gruncie duszy, że ta kunsztowna poza skompromituje się kiedyś w obec dwóch konkurentów, z których jeden będzie bogatszym od drugiego.

— Wracając do kwestyi o konkurentach.... ozwała się nieśmiało brunetka.

— Kwestya jest jasna i nie potrzebuje żadnego komentarza!—odparła szatynka.—Panna od roku siedemnastego powinna mieć konkurentów, powinna dawać odkosze, aby ludzie o jéj egzystencyi wiedzieli, i chociażby z ciekawości do niéj się cisnęli. Panna bez konkurentów umiera dla świata, i niech naprzód każe sobie grób wykopać i pomnik staréj panny postawić!

— Jakże sobie stworzyć konkurentów?

— Wszystkiemi sposobami, które obojętnych zamieniają na konkurentów, a panny do niczego nie obowiązują!

— Taka gra na zimno nazywa się zbrodnią!—żywo przerwała Lunia.

— Jakiż trybunał poczyta jéj to za zbrodnię?

— Można przed trybunałem z pomocą adwokata sprawę wygrać i być czystym, a mimo

to w obec sumienia i opinii ludzkiéj zostać zbrodniarzem i nikczemnikiem!

— Korzyść osobista wyższą jest nad opinię parafii. Tutaj kilku sąsiadów ozwie się o nas może nieprzychylnie, a tymczasem kurs nasz rozchodzi się na kilka powiatów.

Poetyczna Lunia powstała z krzesła, bo słowa przyjaciółki były dla niéj dzisiaj herezyą. Powoli za nią podniosła się brunetka; ale jej twarz zamyślona okazywała, że jakkolwiek na teoryę niedawno wygłoszoną wcale się nie zgadza, jednak uważa ją za temat godny zastanowienia.

— Chcecie odejść,—zagadnęła szatynka widząc, że towarzyszki wybierają się do odejścia — to idę z wami! Ale powiadam wam, że bez konkurentów jawnych i zdeklarowanych źle wyjdziecie! Dla waszego dobra postaram się o to, aby wam konkurentów napędzić, a przedewszystkiem aby sentymentalna Lunia mogła tego karnawału choć jednego dać odkosza.

Przy tych słowach rozśmiała się głośno piękna szatynka i serdecznie ucałowała swoje przyjaciółki.

Lunia chciała właśnie coś odpowiedzieć, gdy w przedpokoju ozwał się dzwonek, a zaraz potem wszedł służący z wizytową kartą do salonu!

— Fabian...—czytała piękna szatynka, a usta jéj drżały złośliwym uśmiechem — pan Fabiyn! Ach, ofiara sama idzie do sieci! Zatrzymajcie się chwilkę! Wszak znacie pana Fabiana?

— Znam go moja duszko,—wyrzekła szybko Lunia — ale puść mnie, muszę iść, bo mama czeka mnie już od godziny!

— Pan Fabian, — chichotała daléj piękna szatynka zamyślonéj brunetce do ucha — pan Fabian to człowiek stworzony do dźwigania koszów. Ma barki pochylone jakby do noszenia wiader z wodą!... Luniu, zostań! Zaklinam cię!

Lunia nie słyszała tych słów. Zarumieniona wymknęła się z salonu i w przedpokoju otarła się o granatowe palto słusznego wzrostu mężczyzny, który nie miał nawet czasu ją powitać.

Za Lunią poważnym krokiem przesunęła się koło gościa imponująca brunetka, mierząc z pod oka przygotowaną do odkosza ofiarę.

Tymczasem zaprosił służący nowego gościa do salonu.

Nowy gość, którego piękna szatynka panem Fabianem nazwała, był wzrostu słusznego, i mógł liczyć, co najmniéj, lat trzydzieści. Zdawało się nawet, że do tego wieku może mu roku lub dwóch lat braknie, i że tylko rozlana

po całéj jego postaci powaga, to złudzenie sprawiała.

Twarz pana Fabiana miała rysy dosyć regularne, chociaż nie sprawiała doraźnego efektu. Błękitne oczy miały światło prawie jednostajne; przebijała z nich łagodność w parze z rozsądkiem. Na wysokiem czole malowały się myśli poważne, i to właśnie tworzyło główną charakterystykę całéj postaci pana Fabiana. Wyglądał on zawsze poważnym, a nawet wtedy, gdy téj powagi wcale nie było potrzeba. Osobliwie przy uśmiechu, owéj koniecznéj koncessyi towarzyskiego życia, wyglądała dziwnie ta jego powaga, któréj się wcale nie zrzekał, a którą dosyć niezręcznie z uśmiechem mieszać usiłował. To też sprawiało, że młode, chichotliwe panienki wybuchały głośnym śmiechem w jego towarzystwie, a z po-za jego pleców dawały sobie rozśmieszające hasła.

Pan Fabian nie gniewał się za to wcale, a śmiech młodych panienek brał za naturalny objaw humoru i temperamentu. Nie przyszło mu nawet do głowy, aby śmiech taki mógł szkodzić jego pozycyi towarzyskiéj. Zapatrując się na wszystko ze strony poważnéj, nie przypuszczał, aby niezasłużenie ktoś mu krzywdę wyrządzał. Pełen sprawiedliwości dla drugich, mniemał, że i dla niego nie może nikt być niesprawiedliwym.

Mimo to, zbytnia jego powaga nawet w rzeczach najdrobniejszych, i głęboka niczem niezachwiana wiara w uczciwość serca ludzkiego, robiły go w wesołem towarzystwie trochę śmiesznym, z czego chciwy śmieszności dowcip skorzystać nie omieszkał. Tym sposobem stało się, że pan Fabian, nie wiedząc wcale o tem, był tarczą różnych dowcipnych pocisków, do czego jego bezprzykładna sumienność i otwartość szczególnie materyału dostarczały.

Taki człowiek stał dzisiaj przed wesołą szatynką, którą w towarzyskich kółkach znano pod imieniem pięknéj, bogatéj, ale złośliwéj i kapryśnéj Michaliny.

Michalina spojrzała z zapartym śmiechem na wyborną ofiarę, która w téj chwili nizki pokłon jej oddawała.

Pan Fabian nie przeczuwał, że był właśnie w najważniejszéj chwili swego życia, która w konkurencyi miała dla niego stać się epoką. Żadne przeczucie, najmniejsze drgnienie serca, o którem mówią, że zawsze ostrzega człowieka, nie powiedziało mu, że stanął w téj chwili na zwrotniku życia. Z oczu Michaliny, prócz wesołości i nadziei rozmowy dowcipnéj, nic także nie mógł wyczytać.

Michalina zmierzyła tymczasem nieświadomego swego losu gościa starannie od stóp do głowy, i poczuła już naprzód radość z projektowanego dzieła swego. Pan Fabian, z uwią-

zanym u pochyłéj szyi koszem, wyglądał w jéj fantazyi bardzo zabawnie.

— Przypomniałeś pan sobie życzliwych znajomych, — rzekła do niego z łagodnym uśmiechem—niech pan usiędzie, za chwilkę wyjdzie cioteczka.

Pan Fabian nie miał powodu nie wierzyć tak przychylnym słowom pięknéj dziewicy; podziękował szczerze i serdecznie za afekt życzliwości i usiadł z całą spokojnością sprawiedliwego człowieka.

Ciotunia jakoś nie wychodziła tak prędko ze swego budoaru; znać uważała Michalinę za pełnoletnią i zdolną do prowadzenia interesów.

Mówiono wiele o rzeczach zwykłych codziennych, wczorajszych i przedwczorajszych. Pan Fabian z całą skrupulatnością człowieka sumiennnego odpowiadał na wszystkie zapytania Michaliny, nie wymykając się żadnym dowcipem.

Po niejakim czasie, gdy już rzeczy codzienne wyczerpane zostały, rzekła Michalina do gościa:

— Jeżeli się nie mylę, karnawał tegoroczny będzie w plon obfity!

— Co pani nazywasz plonem karnawału?— zapytał z powagą pan Fabian, chcąc z całą sumiennością na rzucone zdanie odpowiedzieć.

— Plonem karnawału nie może być co innego, tylko małżeństwa. Czy zgadzasz się pan wtem ze mną?

Pan Fabian zmarszczył wysokie czoło swoje i odrzekł po chwili namysłu:

— Zgadzam się.

— Dla czego pan namyślałeś się?

— Namyślałem się dla tego, że ludzie zazwyczaj pokrywają ten główny cel każdego karnawału czczym pozorem bezwzględnéj zabawy. Mianowicie odnoszę to do panien i kawalerów.

— Cieszy mnie to, że pana widzę tak samo otwartym dla mnie, jak szczerą jestem dla pana.

Pan Fabian ukłonił się z powagą.

— Ponieważ już stanęliśmy oboje na polu otwartości, — ciągnęła daléj Michalina — to pana wcale dziwić nie powinny otwarte moje dalsze zapytania.

Pan Fabian podniósł się trochę z krzesła i siadł napowrót, na znak, że się zupełnie z tem zgadza. Michalina ciągnęła daléj:

— Że panny śród tańców karnawałowych oglądają się za ideałami swemi i marzą o ślubnym kobiercu, o tem nikt nawet wątpić nie powinien. Mówi się coś o bezinteresownéj zabawie, o namiętności tańców, ale tem tylko okrywa się możliwą przegraną. Zdradzając więc przed panem grunt zamysłów płci mojéj, spodziewam się, że mi pan nie odmówisz ze swojéj strony potwierdzenia, że to samo praktykuje się i u panów. Nie prawdaż?

— Nie przeczę, — po krótkim namyśle odrzekł pan Fabian.

— Panowie uważacie karnawał za kampanię szukania żon przyszłych.

— Po większéj części tak jest w istocie.

— Czy przypuszczasz pan wyjątki?

— Wszędzie muszą być wyjątki.

— Pan to mówisz z takim akcentem, jakbyś sam chciał do tych wyjątków należeć.

— Bynajmniéj, mówiąc sumiennie, nie mogę zaliczać się do wyjątków.

— Więc otwarcie przyznajesz się pan do zamysłów matrymonialnych.

— Nie mam powodu z tem się taić. Wyszłoby to tylko na moją korzyść.

— Jestem wdzięczną za otwartość pana.

— Szczerość i otwartość, o ile te nie dotyczą się powierzonéj tajemnicy, są obowiązkiem dla każdego.

— Przeciwnie; niektórzy każą nam kryć się z myślami naszemi.

— To stosuje się do dyplomacyi; życie zaś człowieka nie jest dyplomacyą.

Tu nastąpiła chwila odpoczynku.

— Więc pan przyjechałeś do stolicy, — mówiła po chwili Michalina, bawiąc się wstążką— aby wyszukać sobie towarzyszki życia...

— Nie inaczéj—z należytą powagą odpowiedział pan Fabian.

— Cóż pana skłania do tego kroku?

— Najprzód naturalne pragnienie serca ludz-

kiego, które coś żywo w życiu ukochać pragnie; potem, obowiązki względem społeczności, która nie z luźnych ludzi, ale z dobrze zorganizowanych rodzin składać się powinna.

Michalina przygryzła usta, aby śmiechem nie parsknąć na ten moralny wywód instytucyi małżeństwa. Mogło się zdawać, że w jéj wyobrażeniach, instytucya małżeństwa nie wychodziła nigdy po-nad ładny salon w stolicy, lożę pierwszopiętrową w teatrze, ekwipaż i podróż za granicę!

— Pan z należytym namysłem przystępujesz do tego ważnego kroku,— mówiła daléj z udaną powagą — czy nie masz pan w tych chwalebnych zamysłach jeszcze postronnych jakich powodów?

Pan Fabian spojrzał z uwagą na Michalinę.

— Jeśli się nie mylę, — odpowiedział szybko — myślałaś pani o długach, które zazwyczaj zmuszają kawalera do szukania żony posażnéj.

— Nie, panie Fabianie, o tem nie myślałam — przerwała zapłoniona trochę Michalina.

— Wstydzisz się pani tego zapytania niesłusznie! — z powagą odrzekł pan Fabian — niestety! jest to zapytanie, jakie każda narzeczona powinna zadać swemu narzeczonemu, i nawet nietylko od niego szukać na to odpowiedzi. Dzisiaj bowiem stało się małżeństwo prostą spekulacyą, grą nieuczciwą i hazardowną, w któréj obie strony wzajemnie siebie oszukać usiłują.

— Słowa panu nie odbieram, chociaż jeszcze raz powiadam, że moje zapytanie nie tyczyło się tego tematu.

— Zwykła grzeczność! Otwarcie pani wyznaję, że z mojéj strony nie mam żadnych pobocznych powodów do zmiany stanu. Długów nie mam żadnych, chociaż mająteczek mój jest bardzo skromny. Nie wystarcza on mi na wycieczki do stolicy lub za granicę, nie wystarcza na karty i hulanki; ale wystarczyłby zawsze na skromne potrzeby towarzyszki życia, któraby po za strzechą wiejskiego domku i obowiązkami rodziny, niczego innego nie pragnęła.

Michalina skrzywiła różowe usta i rozdarła koniec atłasowéj wstążki.

— Pan bardzo poważnie zapatrujesz się na życie!—rzekła po chwili.

— Do tego zmuszają nas nasze obowiązki, a w nich kryje się prawdziwe szczęście.

— Szczęśliwy pan jesteś z taką filozofią życia!

— Zależy to od tego, czy kto chciałby podzielić ze mną tę filozofię,—odparł pan Fabian, patrząc z uwagą na Michalinę.

Michalina wytłómaczyła sobie po swojemu to spojrzenie. Puchowe jéj usta zadrżały z wewnętrznéj radości. Namyślała się chwilę. Być może, że liczbę nieszczęśliwych swoich konkurentów chciała teraz powiększyć o jednostkę....

ale trwało to tylko chwilę. Obejrzawszy pana Fabiana jeszcze raz od stóp do głowy, uśmiechnęła się z politowaniem. Zdawało się, że w tem zwycięztwie nie widziała wielkiego zaszczytu dla siebie—odstąpiła go ubogiéj w podobne laury Luni.

— Pan wymówiłeś teraz słowa wielkiéj wagi, — rzekła po chwili rozkosznego zamyślenia — a to obowiązuje mnie do odpowiedzi, która również powinnna być ważną dla pana.

— Słucham pani z całą uwagą.

— Czy w przedpokoju nie widziałeś pan osóbki, która z rumieńcem na twarzy przemknęła się koło pana?

— Panna Ludwika...

— Czy nie odgadłeś pan, co ten rumieniec mógł oznaczać? Lunia zazwyczaj jest bladą.

— Zawsze ją taką widziałem!

— Zkądże ta nagła zmiana dzisiaj?

Pan Fabian zamyślił się z należytą powagą. Długi czas trwało jego zamyślenie.

— Słowa pani — rzekł w końcu — mogą mieć dwojakie znaczenie. Mogą one zawierać bardzo chwalebną przestrogę, abym fałszywego kroku nie uczynił, który nie wypadłby na moją korzyść. Za tę przestrogę jestem pani wdzięczny.

Michalina tłumiła śmiech w sobie, siląc się na odpowiednią w takiéj sytuacyi powagę. Spuściła w ziemię oczy, czekając dalszego domówienia pana Fabiana.

— Drugie znaczenie słów pani, — mówił daléj pan Fabian—jest również godne wdzięczności. Zręcznie zwracasz pani kroki moje w inną stronę, w czem widzę wielką życzliwość dla siebie.

— Żałuję bardzo, że na tych słowach poprzestać muszę, — rzekła z nieśmiałością Michalina — ale zwróć pan na to uwagę, że to powiedziała panu przyjaciółka Luni, która różne jéj tajemnice posiadać może... Reszta od pana zależy!

W téj chwili zaszeleściała suknia jedwabna, a do salonu weszła ciotunia wystrojona z nadzwyczajnym sumptem sztuki fryzyerskiéj i modniarskiéj.

Rozmowa przeszła na inne pole.

Ciotunia była gadatliwa jak sroczka, Michalina dowcipna i wesoła jak mały satyrek z orszaku upojonego Bachusa, a biedny pan Fabian odbijał od nich nader komicznie swoją tragiczną powagą, którą jeszcze ostatnie słowa Michaliny do najwyższéj podniosły potęgi.

Pan Fabian wierzył bowiem mocno, że słów i skinień życzliwych ludzi lekceważyć nie można, i postanowił zaraz jutro udać się do rodziców Luni.

Panna Lunia miała ciemno-szafirowe oczy, staranne wykształcenie i dosyć problematyczny posażek. Rodzice prowadzili dom otwarty i starali się o wszelkie pozory pewnej zamożności. Często przyjmowano gości i starano się o stosunki rozległe.

Jest to już w naturze ludzkiéj, aby nastrajać swoje wymagania do stosunków zdobytych. Być więc może, że rodzice Luni mieli wymagania nad stan swój rzeczywisty, a może też i jasnowłosa jedynaczka w ukrytych marzeniach swoich sięgała wyżéj, niżeli na to rzeczywistość pozwalała. Zawsze jednak miały te marzenia grunt szlachetny, chociaż nie zawsze praktyczny. Marząc o świetnem zamążpójściu, nie wyrzekała się miłości, nie chciała za miły grosz się sprzedać, jak to nieraz czyniły jéj towarzyszki. Chciała pogodzić jedno z drugiem, ukrywając starannie przed samą sobą prozaiczną stronę takiego rachunku.

Na taką osobę, stosownie do życzliwych skinień Michaliny, zwrócił teraz uwagę pan Fabian.

Lunię poznał już był dawniéj i zaraz z początku powziął dla niej pewną sympatyę, która, przy sprzyjających okolicznościach, wystarcza aż nadto do przejścia w stan wyższego uczucia, co się pospolicie miłością nazywa.

Słowa Michaliny wytłómaczył sobie dosyć oględnie. Nie sądził, że Lunia wprost się już

w nim zakochała, jako też z drugiéj strony nie stał się od razu gotowym kochankiem. Rumieniec, który sam widział w przedpokoju, wziął poprostu za posłańca dobréj wieści, po którą dopiero sam miał wyruszyć. Był więc z jednéj i drugiéj strony grunt i racya do wzajemnego zbliżenia się, a reszta co Bóg da! Może nie tak rodzi się miłość poetyczna; ale pan Fabian nie był poetą, tylko człowiekiem zwyczajnym, chciał więc iść drogą zwyczajną do wielkiego celu życia, do którego wybierał się z sumiennością i rozwagą poczciwego człowieka.

Stosownie więc do widoków, które się teraz przed nim otwierały, poszedł zaraz na drugi dzień do rodziców Luni.

Rodzice Luni byli ludźmi wyższéj towarzyskiéj ogłady, przyjęli więc gościa z należytą gościnnością i prosili go, aby od czasu do czasu o ich domu nie zapominał.

Lunia dla wszystkich bez wyjątku gości była uosobioną uprzejmością. Powitała pana Fabiana serdecznie i szczerze, zapomniawszy już dawno o słowach Michaliny, które poprostu wzięła za żart okolicznościowy.

Pan Fabian widział w tem serdecznem przyjęciu zachęcenie dla siebie. Nie przypuszczał w żaden sposób, aby Lunia zostająca z Michaliną w tak ścisłych stosunkach przyjaźni, nic a nic o jego zamiarach nie wiedziała. Wziął

UNIWERSYTECKA BIBLIOTEKA

więc jéj uprzejmość za dobrą wróżbę i nie zbyt długo ociągał się z drugą wizytą. Za drugą poszła trzecia, czwarta i piąta, a w krótce zaczął regularnie chodzić co drugi dzień, co Michalinie dało powód porównania go z febrą.

Z razu nie zwrócono na to w domu uwagi. Pan Fabian na pierwszy rzut oka nie wyglądał bardzo na konkurenta. Wysokiego wzrostu, z pochylonemi ramionami, z twarzą o wiele starszą nad wiek swój, patrzący na młode panny z taką powagą z góry, jakby chciał być ich dziaduniem, mógł łatwo uchodzić za zwykłego przyjaciela domu, który i gościa nudnego rozerwie, i do wista zamiast kołka siądzie, i małe dzieci na kolanach ukołysze.

Taką rolę przypisywano mu z razu w domu rodziców Luni. Sama Lunia nie prędko spostrzegła się. Pan Fabian zawsze z największą powagą z nią rozmawiał, nigdy nie dowcipkował, ani żadnéj psoty jéj nie wyrządzał. Nie strzelał oczyma, nie robił domyślnych kalamburów, ani nawet ni razu nie ścisnął jéj za różowe paluszki. Zbliżał się do niéj zawsze z tak głębokim szacunkiem, jakby nie była zwykłą kobietą, ale królową świata; siadywał koło niéj w tak przyzwoitem oddaleniu, jakby obawiał się dotknięciem powalać jéj świętą szatę.

Dziwną tę i niepraktykowaną dzisiaj cześć dla wybranéj kobiety, wytłómaczono sobie

w domu Luni inaczéj. Wzięto pana Fabiana za gościa bardzo przyzwoitego, który rozsądkiem swoim, powagą i przyswojoną nauką nadawał nawet zbierającemu się towarzystwu pewną okrasę, i z tego powodu był wygodnym i pożytecznym na swojem miejscu.

Gdy ojciec Luni był w niedobrym humorze, pan Fabian bawił wybornie starego pułkownika, słuchając z należytą powagą improwizacyj sędziwego weterana. Gdy gospodyni domu migrenę miała, damy kanapowe miały z niego wybornego towaszysza, który umiał je rozmową bawić przez trzy godziny nie otarłszy ani razu spoconego czoła. Słowem, pan Fabian był od wszystkich lubiony: od starszych dla poważnéj rozmowy, a od młodszych dla oryginalności, jak się grzecznie wyrażano, która ich do ukrytego śmiechu pobudzała.

Zapytany z daleka o swoje stosunki majątkowe, odpowiadał szczerze i bez ogródki: że posiada bardzo mierny mająteczek, że tyle a tyle ma ornych gruntów, tyle łąk i tyle moczaru, i że przy oszczędnem gospodarstwie fortunka jego wystarcza na bardzo skromne życie.

Takie przymioty nie zalecały go bynajmniéj na szczęśliwego konkurenta. To też panny z wyższą pretensyą wymazały go zupełnie z szeregu możliwych *epuzerów*.

Zdaje się, że i Lunia poszła za tym przykładem. Poetyczna jéj dusza wyśniła sobie wpraw-

dzie skromny idealik, ale idealik ten stawał zawsze przed jej oczyma z pewnym pozytywnym dodatkiem, jakim pan Fabian nie mógł się poszczycić. Sam bowiem zaraz na wstępie przyznał się do bardzo skromnéj fortunki.

To było powodem, że poetyczne serduszko Luni ani razu do niego nie uderzyło, ani nawet ukrytych jego intencyj nie zrozumiało. Biło przy nim spokojnie jak przy dobrym znajomym, który co drugi dzień kilka godzin przy wiście lub beziku sumiennie przesiadywał.

Tak trwało kilka tygodni, dłużéj jednak trwać nie mogło. Jedna z przyjaciołek powiedziała coś drugiéj, druga trzeciéj, a za kilka dni rozeszła się opinia, że pan Fabian jest konkurentem Luni.

Doszło to wreszcie do Luni.

Lunia miała grunt duszy zacny i poczciwy. Nie chciała iść w ślady swych tuzinkowych lalek bezdusznych, którym się zdaje, że kokieteryą zwabione i niemiłosiernie pobite ofiary konkurentów, tworzą ponętną aureolę w około ufryzowanéj *à l'enfant* główki dziewiczéj.

Lunia zatrwożyła się gdy jej oczy otworzono, a nawet gorzko zapłakała. Zabolała ją myśl, że poczciwy człowiek może dla niéj fałszywy krok uczynić. Wyobrażała sobie naprzód gorzki zawód tego człowieka i obwiniała siebie, że do tego dopuściła. Jakkolwiek po ścisłym obrachunku sumienia do żadnéj winy się nie

poczuwała, wyrzucała jednak sobie, że wcześniéj zamysłów pana Fabiana nie odgadła i nie przestrzegła go zawczasu. Przypomniała teraz sobie wszystkie szczegóły jego zachowania się i dowiedziała się z przerażeniem, że pan Fabian rzeczywiście, chociaż w sposób nieco oryginalny, po jéj rękę zmierzał.

Nie było czasu do stracenia. Trzeba było jak najspieszniéj złe naprawić i w ostatniéj godzinie dać panu Fabianowi do zrozumienia, że nadzieje jego są daremne.

Jakkolwiek sygnały Luni, odwrót panu Fabianowi nakazujące, były zbyt subtelne i ciche, zrozumiał je jednak pan Fabian i z należytą powagą nad niemi się zastanowił.

Nie uszło bynajmniej jego uwagi, że Lunia coraz więcej odwraca się od niego, że mówi z nim z pewnem niecierpliwem roztargnieniem, że czasem jego zapytań niby nie słyszy.... Raz nawet wcale nie wyszła do niego, gdy z ojcem przez dwie godziny grał bezika poobiedniego; a niedawno zadzwoniwszy do przedpokoju, usłyszał wyraźnie jéj srebrny głosik, nakazujący służącemu gościa odprawić, gdyż w domu nikogo niema!

Wszystko to pozbierał z należytą powagą pan Fabian i poznał, że bita droga do szczęścia zaczyna mu się gubić. Były tu i owdzie ścieżki kręte... ale krętemi ścieżkami nie zwykł nigdy chodzić.

Chciał przedewszystkiem stworzyć sobie jasną sytuacyę. Ale zkądże światła dostać? Z rodzicami, z panną, nie chciał jeszcze mówić, bo sprawy swojéj nie uważał za dojrzałą.

Poszedł do Michaliny.

Michalina przyjęła go dowcipnym uśmieszkiem, ścisnęła serdecznie za rękę i posadziła na sofie tuż koło siebie.

— W szczęściu zapomina się o życzliwych znajomych, — rzekła do niego, uderzając go figlarnie po szerokiem ramieniu—co pan z sobą przynosisz?

— Nieszczęście! — z powagą odpowiedział pan Fabian i westchnął.

Michalina obróciła się żywo ku niemu.

— Czy się pan oświadczyłeś? — zapytała z ciekawością, a z oczu jéj czarnych tryskały iskry nietajonéj radości.

— Nie oświadczyłem się, — spokojnie odparł pan Fabian — bo do takiego kroku brak mi zupełnie podstawy.

I smutno zwiesił głowę.

Michalina przygryzła usta, aby nie parsknąć śmiechem nad tym widokiem rycerza smutnéj postawy.

— Nudny pan jesteś, — rzekła po chwili— jakiej znowu podstawy potrzeba panu, aby się oświadczyć?... Czy masz pan podagrę?

— Podagry nigdy nie miałem, ale mam dobre oczy, które mi mówią, że nadzieja moja mnie zawiodła.

— Czy kochasz pan Łunię?

Pan Fabian przełknął, przesunął ręką po czole i odpowiedział z pewnym namysłem:

— To słowo „kochać“ jest dzisiaj tak zużyte, że bez bliższego porozumienia się nie można niem w rozmowie szafować. Biały kolor jest kolorem aniołów i niewinności, a jakież to osoby używają dzisiaj najwięcéj bielidła?... Nie weźmiesz mi pani za złe, jeśli w rozmowie to słowo ominę. Panna Ludwika jest dla mnie osobą sympatyczną, mam dla niéj wysoką cześć i szacunek. Na tym gruncie, zdawało mi się, że dojdę do wyższego uczucia, i dotąd miałem wszelkie nadzieje. Od kilku dni jednak gwiazda moja przygasła. Nie wiem, czy kto plotkę na mnie zrobił, czy serce panny Ludwiki nagle innemu wrażeniu uległo, dosyć, że sygnalizowano mi odwrót.

— Odwrót... odwrót! To być nie może. Znam serce Luni i temu nie wierzę. Chociaż z nią o tak delikatnéj sprawie nigdy nie mówiłam, sądzę jednak, że pan fałszywie widzisz. Serce kobiety jest często zagadką dla mężczyzny, a najbardziéj wtedy, gdy kobieta najgoręcéj kocha! Wy tego nie rozumiecie!... Opowiedz mi pan, jakie mary cię przestraszyły.

Pan Fabian ucałował różowe paluszki pięknéj orędowniczki i z całą otwartością wyspowiadał się z tego co widział i słyszał.

Michalina słuchała go z uwagą. Śmiech wewnętrzny krążył po całéj jéj twarzy, aby gdzieś wybuchnąć, ale wszędzie musiał się cofać napowrót do głębi duszy.

Pan Fabian tymczasem opowiedział wszystkie swoje dobre i złe przygody, zwierzył się jéj z mar i podejrzeń, które mu dalszą drogę zagradzały.

Po niejakim namyśle ozwała się Michalina:

— Z tego co od pana słyszę, nie mogę w żaden sposób wnosić, aby Lunia nagle stała się dla pana nieprzychylną. O ile wiem, nic nie zaszło w jéj sytuacyi, żaden nowy konkurent się nie zjawił. Jeżeli wolno tutaj robić jakie przypuszczenia, to te wypadłyby tylko na korzyść pana. Serce kobiece czasem niecierpliwi się długiem wahaniem konkurenta i wtedy udaje, że się od niego odwraca, aby tenże tem prędzéj do celu zmierzał. Czasami znowu leży to w naturze serca naszego, że ma pewne grymasy, że chce siebie i kogóś zranić, aby potem tem mocniéj pokochać. Dla tego radzę panu, nie robić żadnych niekorzystnych dla siebie przypuszczeń, a uchowaj Boże, bez jasnéj przyczyny odchodzić. Wtedy jest się zazwyczaj odpowiedzialnym za własne szczęście i za szczęście drugiéj osoby, któréj nie umieliśmy zrozumieć.

Pan Fabian z całą powagą i sumiennością zamyślił się nad temi słowami.

— Zresztą, — mówiła daléj przyjaciółka Luni — w najgorszym razie, bardzo wiele u kobiety może cierpliwość i wytrwałość mężczyzny. Nasze serce nieraz kocha z całym ogniem, a jednak chce być z pewnemi przeszkodami zdobyte; chce się przekonać, że nawet roztwarta na drodze przepaść nie odstraszy kochającego mężczyzny.

Pan Fabian ciągle sumiennie myślał.

— Nie trudno nawet, — szczebiotała daléj Michalina — poznać ten maskowany odwrót serca kobiecego. Oko kochającego dojrzy w udanéj obojętności tryskające iskry palącego się ognia. Czyż pan na te iskierki nigdy uwagi nie zwracałeś?... Czy nie przypominasz pan sobie tego kwiatka rzuconego niedbale na stoliczek, przy którym pan siedziałeś? Czy zapomniałeś pan, że podczas gry wybrała pana za opiekuna?

Michalina wyliczyła tutaj cały tuzin podobnych wydarzeń subtelnych, na które pan Fabian powinien był zwrócić uwagę jako konkurent domyślny. Odmalowała mu żywo poetyczną duszę Luni, która na widok realnych zadań życia odwraca się płochliwie jak biała, szelestem listka strwożona gołąbka!... Z tego wszystkiego wyprowadziła wniosek, że pan Fabian, jako człowiek sumienny, nie powinien tchórzliwie uciekać z zajętego pola, ale wytrwałością i odwagą zdobyć sobie najpiękniejszy laur życia.

Panu Fabianowi uśmiechał się ten laur życia, to też i argumenta Michaliny znalazły przystęp do jego rozumu. Przypomniał sobie rzeczywiście kilka drobnych wydarzeń, na które dawniéj uwagi nie zwracał, a które teraz były dla niego dowodem, że poetyczna Lunia nie jest dla niego obojętną. Zresztą sumienie i poczciwość nakazywała mu pozostać na zajętem stanowisku, póki cała rzecz nie roztrzygnie się należycie.

Orędowniczce swojéj podziękował gorąco za jéj dobre rady, i postanowił prowadzić daléj rozpoczęte dzieło, jak na poczciwego i sumiennego człowieka przystoi.

Po jego odejściu śmiała się Michalina długi czas szczerze i serdecznie, potem usiadła do fortepianu i dźwięcznym głosem zaśpiewała jedną z wesołych piosenek ulubionego swego Offenbacha.

Była to piosenka „Pieknéj Heleny.“

Dwa miesiące minęło od tego czasu.

Pan Fabian z odwagą prawdziwego bohatera kroczył po ciernistéj drodze konkurenta, który nie wiedział czy idzie do zwycięztwa czy do przegranéj.

Była to praca prawdziwie herkulesowa.

Sumienna Lunia dawała mu codziennie sygnały, że od niéj niczego nie może się spodziewać; ale sygnały te były tak uprzejme i subtelne, że pan Fabian jedne widział i rozumiał, drugich wcale nie widział, albo stosownie do rady Michaliny inaczéj je sobie wytłómaczył. Do tego miała Lunia serduszko poczciwe i tkliwe. Czasem zabolało ją, że taką okrutną jest dla poczciwego przyjaciela domu; wtedy dodawała do swoich ostrzegających sygnałów tak serdeczny uścisk ręki i tak głębokie spojrzenie, że pan Fabian uznał za rzecz sumienia zapomnieć o sygnale a pozostać przy uścisku i spojrzeniu.

Do obałamucenia pana Fabiana przyczyniła się starannie wyrafinowana polityka poetycznéj Luni. Chciała ona z mniemanego kochanka i konkurenta zrobić nieszkodliwego przyjaciela. Zmiana ta jednak frontu śród boju była tak niebezpieczną, że pan Fabian nie biorąc niepewnéj rzeczy nigdy za złą, wziął tę zmianę frontu za oddaloną nadzieję, za którą mu iść kazano.

Prócz tego był jeszcze jeden powód, który podtrzymał pana Fabiana na zajętem raz stanowisku. Powodem tym była dla niego opinia publiczna. Im jaśniéj bowiem dawała mu Lunia do poznania, że za niego nigdy nie pójdzie, tem uporczywiej prześladowała go opinia publiczna, która w nim widziała szczęśliwego i już zdeklarowanego konkurenta. Znajomi i nieznajomi winszowali mu tak pięknéj narzeczo-

néj, a kobiety wiedziały już nawet, że Lunia wybrała sobie na ślub kościół OO. Frańciszkanów dla tego, że pan Fabian na drugie imię nazywał się Frańciszkiem.

Zkąd ta opinia się brała, trudno dociec. Być może, że pan Fabian sam dawał pozory do takiéj opinii, która resztę sobie dopełniła.

Opinia ta uderzyła mniemanego konkurenta i często nie dała mu obaczyć sygnałów, które mu spieszny odwrót nakazywały. Mimo tych sygnałów, tak ze strony córki jak i rodziców, pan Fabian był jak dawniéj tak i teraz prawie codziennym gościem.

Wreszcie przebrała się miarka, a natrętnego gościa trzeba było pozbyć się jakimś środkiem heroicznym.

Ponieważ sam nie oświadczał się, nie można mu było wyraźnie odmówić; podwojono więc tylko liczbę bateryj, które fortecy broniły.

Przejrzał wreszcie pan Fabian i po należytem zastanowieniu się uznał, że zaleconą przez Michalinę cierpliwość i wytrwałość wyczerpał do dna. Niemniéj wyczerpał do dna chęć szczerą, aby nie krzywdząc ludzi, widzieć rzeczy w świetle jak najlepszem. Ciemność nieprzebita w postaci skały stanęła przed nim i rzekła mu zimnym głosem: Wróć się!

Pan Fabian postanowił wrócić się.

W tym celu spakował kufer skórzany, pozapinał starannie wszystkie sprzączki i na pożegnanie udał się do swojéj niefortunnéj orędowniczki, do któréj najmniejszego nie miał żalu.

Michalina z zadziwieniem spojrzała na podróżny kapelusz pana Fabiana.

— Cóż to, — zapytała — czy pan jedziesz na Bielany?

— Nie, pani, do domu! — odpowiedział z powagą smutną pan Fabian.

— Do domu?... Zbiegasz pan z pola?

— Kampania skończona!

— Oświadczyłeś się pan?

— Niema do tego potrzeby. Jasno jak na dłoni okazano mi, że nie mam się niczego spodziewać.

— Jak to? Półtrzecia miesiąca byłeś pan zdeklarowanym przed światem konkurentem, całe miasto mówiło o tem, opinia publiczna już oddawna żeni pana z Lunią, a pan teraz cichaczem uciekasz od panny?...

— Cóż innego mam zrobić?

— Czy wiesz pan co to znaczy, jeśli trzechmiesięczny konkurent nagle od panny znika? Czy wiesz pan, że panna wtedy w opinii publicznéj żywcem pogrzebana? Czy miałbyś pan serce zabić biedną Lunię na zawsze? Któż się potem do biednéj zbliży, jeśli jeden protegowany przez opinię publiczną konkurent nagle i tajemniczo ucieka?... Nie, tego pan uczynić nie możesz!

Na czoło pana Fabiana wystąpiły sine pręgi.

— To co pani mówisz, jest świętą prawdą,— ozwał się po chwili—ale cóżem temu winien?

— Któż winien, jeśli nie pan? Czy Lunia pana kokietowała, czy przyciągała czem? Czy rodzice łapali pana?

— Uchowaj Boże! Panna Ludwika to zacna i czysta dusza! Ja tylko zbłądziłem, że jéj uprzejme zachowanie się wytłómaczyłem sobie inaczej, na moją korzyść.

— Więc pan winienieś temu, żeś był ślepy, żeś widział rzeczy, których nie było, żeś uporczywie odgrywał rolę konkurenta; pannę przed światem skompromitowałeś, a teraz uciekasz cichaczem, aby złośliwej opinii dać szerokie pole do domysłów, które pannę zabijają!

Pan Fabian zmarszczył wysokie czoło swoje i z nadzwyczajną powagą zamyślił się głęboko. Oddychał ciężko i szybko.

— Masz pani słuszność,—odrzekł po chwili, a twarz jego płonęła rumieńcem — nie zwracałem na to uwagi. Rzeczywiście jestem winien: świat nie zna powodów mego odwrotu, i pannie Ludwice gotów wyrządzić wielką a niesłuszną krzywdę. W ślepocie mojéj popełniłem prawie zbrodnię... Ale jakże to naprawić można?

— Idź pan do panny i solennie oświadcz się!

— Oświadczyć się?

— Naturalnie, dostaniesz pan kosza!...

— Kosza?

— Ale tym sposobem zakończysz pan rozpoczętą sprawę jak na sumiennego człowieka przystoi. Świat nie będzie już miał powodów rzucać na biedną dziewczynę złośliwych podejrzeń.

Pan Fabian pochylił głowę i długo myślał. Po niejakim czasie podniósł twarz zmienioną, i oczy łzami zwilżone.

— Wszystko jest słuszne — rzekł drżącym głosem — coś pani powiedziała. Dziwi mnie, że sam na to nie trafiłem. W istocie nierozwagą moją i ślepotą wyrządziłem pannie wielką krzywdę, i obowiązany jestem tę krzywdę naprawić.

Michalinie trochę żal się zrobiło teraz, że pan Fabian tak seryo wziął jej słowa do serca, i już chciała rozbudzić jego tragiczną powagę serdecznym śmiechem, gdy ciocia nagle do salonu weszła i rozmowę na inne pole skierowała.

Panu Fabianowi nie chodziło jednak o dalszą rozmowę. Przy pierwszéj pauzie wstał z krzesła, i pożegnawszy nagle kobiety, szybko wyszedł z salonu.

Zaraz na drugi dzień rozpiął pan Fabian napowrót swój podróżny kufer, dobył z niego jak najcieńszą koszulę i jak najlepszy tużurek.

Ubrawszy się jak najstaranniéj, jak na chwilę tak uroczystą przystoi, zwilżył trochę zimną wodą krwią nabiegłe oczy i wyszedł na ulicę.

Na ulicy spotkał go dobry znajomy, któremu nawet przed tygodniem „na kilka godzin“ parę set złotych pożyczył. Znajomy zmierzył go okiem znawcy od stóp do głowy i rzekł żartobliwie:

— Gdybym był człowiekiem złośliwym, sądziłbym, że idziesz oświadczać się do panny!

— Nie inaczéj — z powagą odpowiedział pan Fabian.

— Co mówisz!

— Mówię ci prawdę.

— Przecież nie do Luni?

— Dla czego nie do Luni?

Znajomy spojrzał z uwagą na pana Fabiana. Jego twarz, głos i cały nastrój okazywał, że tu nie idzie o żarty, że pan Fabian na seryo coś zamyśla.

Poczciwy znajomy przypomniał sobie o nieuiszczonym jeszcze długu, przed tygodniem „na kilka godzin” zaciągniętym, i smutno mu się zrobiło, że przyjaciel jego jakieś głupstwo myśli wypłatać. Wziął go pod ramię i wyprowadził z pomiędzy ciżby przechodzących.

— Powiedz mi otwarcie Fabianie, co zamyślasz robić? bo mogę ci dać potrzebne wyjaśnienia. Czy rzeczywiście chcesz się Luni oświadczyć?

— Czy cię to zadziwia?—odparł z indygnacyą pan Fabian.—Wszak przez trzy miesiące byłem zadeklarowanym przez opinię publiczną konkurentem panny Ludwiki, z czem się wcale nie taiłem!

— To prawda... prawda... ale widzisz kochany Fabianie, panna nie ma znaczniejszego posagu, a dzisiaj gospodarstwo na wsi potrzebuje pieniędzy...

— Tem lepiéj dla mnie, jeśli przestanie na mojéj skromnéj fortunce!—z ironią odparł pan Fabian.

Poczciwy dłużnik zasmucił się. Był on pewien, że tem wyjaśnieniem ochłodzi pana Fabiana. Byłaby to z jego strony delikatna przestroga przed grożącym koszem. Przestroga ta jednak nie wywarła skutku.

— Zlituj się Fabianie, — mówił daléj życzliwy dłużnik — czyś dobrze obmyślił rzecz całą? Czy masz pewne powody, że Ludwika....

— Jak najpewniejsze! — krótko odparł pan Fabian.

Litościwy dłużnik zafrasował się nad zapalczywością swego wierzyciela. Znał on dom Luni doskonale, i widział sam często na własne oczy, jak panu Fabianowi dawano wyraźnie do poznania, że z nadziei jego nic nie będzie.

— Zastanów się dobrze nad tem, — mówił daléj do rozgrzanego konkurenta — bo to przecież ważny krok w życiu, a poniewierać siebie nie godzi się. Czy jesteś pewien, że Ludwika...

— Powtarzam ci jeszcze raz: jak najpewniejszy!

Dłużnik osłupiał.

— Przecież na was oboje pilnie patrzałem.... mówił daléj z prośbą prawie.

— Każdy człowiek dla siebie ma oczy najlepsze!

— Przeciwnie, oczy, które z boku patrzą, widzą lepiéj i jaśniéj.

— Wszyscy jesteście w błędzie!

— Dałby Bóg... ale ja poczuwam się do obowiązku, jako szczery twój przyjaciel, zapytać jeszcze raz ciebie: czy masz pewne, ugruntowane powody, że panna Ludwika...

— Proszę cię, nie nudź mnie! Wiem co robię!

— Zlituj się... coby to było, gdybyś naprzykład zamiast obrączki otrzymał... odkosza!

Pan Fabian zatrzymał się nagle.

— Wszak po niego idę!—odparł zdziwiony.

— Idziesz po to, aby wziąść kosza?

— Nie inaczéj!

— I mówisz to tak spokojnie?

— Bo tego pragnę!

Poczciwy dłużnik był pewien, że pan Fabian zwaryował. Odstąpił krok od niego i obejrzał go do koła.

— Nie wiem, czy sobie ze mnie żartujesz, czy ci się co bardzo złego wydarzyło?—ozwał się do niego po chwili zdziwiony dłużnik.

Pan Fabian spojrzał na poczciwą twarz dłużnika i poznał, że ten wcale go nie zrozumiał. Uznał więc za słuszne wytłómaczyć mu się otwarcie.

— Przepraszam cię, — rzekł do niego dobrotliwie — bo nieporozumienie było między nami. Myślałem, że jesteś jednym z tych, co to myśleli, że jestem już narzeczonym albo przynajmniéj szczęśliwym kandydatem na męża panny Ludwiki. Wiem o tem, że taka opinia była po za nami.

— Prawda!—odparł dłużnik.

— Otóż opinia publiczna była w błędzie. Nie tylko nie dawano mi żadnéj nadziei, ale nawet dosyć wyraźnie okazywano mi, abym się nie kusił. Ja jednak tego nie widziałem, czy nie chciałem widzieć, i uparcie chodziłem do panny przez trzy miesiące ze wszystkiemi pozorami szczęśliwego konkurenta!

— Cóż ztąd?

— Ztąd poszło, że świat wierzył, iż ja już jestem po słowie, i łączył nas nawet razem w kościele OO. Franciszkanów. Tymczasem otworzyły mi się w końcu oczy, że ani panna, ani rodzice mię nie chcą!

— Więc nogi na ramię i do domu!

— Ba, a z panną co się stanie?

— Będzie czekała innego, bogatszego od ciebie!

— Źle bracie na nas się zapatrujesz. Panna nie będzie miała na kogo czekać, bo źle zawiadomiona opinia publiczna powie, że kawaler nagle porzucił pannę i że może być jakiś ważny powód do tego. A wiesz ty, co to znaczy, jeśli świat tak powie? Czy wiesz, że w takim razie jest panna stracona, bo każdy boi się tego ukrytego powodu, dla którego konkurent ją nagle porzucił?

Pan Fabian, gdy to mówił, miał twarz nadzwyczaj ożywioną. Oczy prawie wyszły mu na wierzch.

Dłużnik uśmiechnął się z politowaniem i odrzekł:

— Nie turbuj się o żadną pannę. Każda panna, jeśli konkurent od niéj ucieknie, opowiada, w najlepszym razie, wszem w obec i każdemu z osobna, że go w żaden sposób pokochać nie mogła, i że chociaż jest człowiekiem zacnym i poczciwym, musiała w końcu dać mu poznać, aby na nic nie liczył! Będzie go nawet żałowała, wspomni coć mimochodem o jego rozpaczy, coś mu przypnie...

Pan Fabian zamyślił się nad temi słowami.

— Taki jest pospolity los wszystkich kawalerów, którzy panny odbiegają. I ty więc Fabianie bądź spokojny, bo panna sama sobie pomoże, chociaż na twój rachunek!

— Nie, — odparł pan Fabian, nie mogąc się na to zgodzić. — Wiem, żem zawinił, i poczuwam się do ekspiacyi mojéj winy. Tak być zawsze powinno. Zresztą należy każdą rozpoczętą rzecz do końca doprowadzić. Pannie Ludwice należy się taki koniec, bo ja na niego zasłużyłem. Przed własnem mojem sumieniem muszę się oczyścić i dać mu zadośćuczynienie. Panna Ludwika musi z téj sprawy wyjść czystą i niewinną, jak czystą i niewinną była zawsze w obec mnie!... Czy piłeś już herbatę?

— Piłem.

— Ja dzisiaj jeszcze nic w ustach nie miałem. Wstąp ze mną do cukierni. I tak zawcześnie jeszcze.

Obaj przyjaciele, czyli dłużnik i wierzyciel, weszli do cukierni. W cukierni zastali kilku znajomych. Jeden z nich, już sporo podtatusiały jegomość, przybliżył się do nich.

— Słyszałem rzekł do Fabiana, że dajesz nura przed panną Lunią. Słusznie robisz. Widziałem sam, jak cię tam łapano, ale dobry lis z ciebie. Przewąchałeś, że tam pustki i w czas drapnąłeś! Narobi to wprawdzie trochę hałasu, panna na kilka lat straci aureolę posagową, nim młody jaki dudek w epuzera urośnie i na muchę da się złapać.

— Czy sądzisz, — zapytał pan Fabian z powagą—że to pannie może szkodzić?

— Może pójść spać na kilka lat! Zresztą zasłużyła sobie na to. Czyż to się godzi wodzić kogoś za nos nadzieją znacznego posagu, a potem zamiast pieniędzy ofiarować mu swoje czułe serce? Nieubłagany jestem na panny pozujące na świetną partyę, a łowiące tymczasem pięknemi słówkami bogatych konkurentów! Oko za oko, ząb za ząb!

— Czy sądzisz, że opinia publiczna tak samo jak ty usposobiona jest dla panny Ludwiki?

— Opinia publiczna? Opinia już ją w kawałki podarła. Wczoraj byłem na herbacie u pani Aurory. Ktoś przyniósł tam wieść, że porzucasz stolicę i z panny Luni rezygnujesz dobrowolnie. Było widzieć i słyszeć, co się tam wtedy działo! Panna Katarzyna skoczyła z radości i głośno powiedziała, że tego dawno się spodziewała, że każdy następny koukurent tak samo zrobi! Nie dopowiedziała nawet swego zdania, tylko dała do zrozumienia, że wie o czemś, czego powiedzieć nie chce!..

— Czy słyszysz?—ozwał się z powagą pan Fabian do swego dłużnika.

Dłużnik nic nie odpowiedział.

— Pan Agapit,—mówił daléj referent opinii publicznéj, który formalny protokół panien na wydaniu prowadzi — uśmiechnął się znanym swoim uśmiechem, i wybąknął o Pannie Luni

kilka słów dosyć zagadkowych, których nawet powtarzać nie chcę!

— Słyszysz? — rzekł znowu pan Fabian do swego towarzysza, któremu papieros zagasł.

— Pani Tytusowa powiedziała, że rodzice Luni gonią ostatkami, że łapano już nawet pewnego bogatego Izraelitę; że panna u wód tamtego roku uczepiła się jakiegoś siwego generała z Niżogrodu, a po nim zarzuciła sieci na pruskiego bankiera, ale wszystko omyliło!

— Słyszysz? *Vae victis!*

— Mówiono także, że Lunia uczy się teraz krawieczczyzny kobiecej, i zamyśla otworzyć magazyn form papierowych do kroju kostiumów damskich!... Złośliwi twierdzili, że stary półkownik, który ją zbyt często pod brodę głaszcze, zaproponował rodzicom pewny interes, nad którym się jeszcze namyśla Lunia...

Pan Fabian nie mógł dłużéj słuchać reportera opinii publicznéj. Zapłacił za herbatę i wypadł na ulicę.

Ojciec Luni zapalał sobie właśnie cygaro po herbacie śniadaniowéj. Matka siedziała jeszcze przy stole, na którym właśnie co przestał kipieć samowar. Lunia dumała nad próżną filiżanką, podparłszy białą rączką złotą główkę.

Na wszystkich twarzach odbijał się spokój wewnętrzny, a nawet jakieś zadowolenie. Zdawało się, że cały uragan opinii publicznéj, który huczał po za nimi, nie przedarł się jeszcze do tego cichego i z komfortem urządzonego przybytku.

Lunia miała ranny negliżyk, w którym było jej bardzo do twarzy. Spódnica ifałdzista bluzka koloru *hawana*, odbijały od białéj twarzy i żółto-złotych włosów. Ażurowy kołnierzyk wywijał się niedbale z pod gładko utoczonéj szyi.

Śniadanie było dzisiaj spóźnione, bo wczorajszy wieczorek u pani Włodzimierzowéj przeciągnął się sporo po północy, prawie aż do świtu.

Ojciec Luni spojrzał na córkę, wydmuchnął siny kłąb dymu i zapytał:

— Czy pan Karol mówił wczoraj z tobą?

Pan Karol był jednym z bogatszych epuzerów tegorocznego karnawału.

— Pan Karol? — powtórzyła z ironicznym uśmiechem Lunia—pan Karol nie myśli wcale o mnie! Mówił przez cały wieczór z panną Agatą!

Ojciec Luni zachmurzył czoło.

— Nieszczęściem dla panny—mówił daléj—jest zawsze, jeśli się do niéj ktoś taki przyczepi, co kwalifikacyi na konkurenta nie ma, a jednak w oczach innych za konkurenta uchodzi!

— Ojczulko myślisz o panu Fabianie!—ozwała się Lunia i spuściła oczy na dno próżnéj filiżanki.

— Poczciwy z kościami człowiek, ale któż tam zrazu myślał, że miał jakieś zamiary!

— I ja także nie przypuszczałam!—odparła cicho Lunia nie podnosząc oczu.

— Dobrze się stało że wyjechał!—dorzuciła matka.

— Byłbym w kłopocie, gdyby mnie z nienacka o rękę Luni zagadnął. Bo jakże to zacnemu i poczciwemu człowiekowi powiedzieć, że wybrałeś się z motyką na słońce?

Lunia poczerwieniała trochę na twarzy.

— Na samą myśl—ozwała się—bije mi krew do głowy. Jabym się rozchorowała ze zmartwienia, gdyby pan Fabian rzeczywiście mi się oświadczył, a ja mu odkosza dać musiała!

— Przygotuj się na to, bo i to kiedyś nastąpić musi! — wtrąciła matka z uśmiechem zadowolenia.

Luni stanęły łzy w oczach.

— Niech mnie Bóg broni, aby to kiedyś nastąpić miało! Panna, która daje odkosza, dowodzi, że była kokietką. Wprawdzie, aby być kokietką, nie trzeba koniecznie oczami zawracać, głęboko wzdychać i gestami mężczyznę do siebie przywoływać. Czasami odbywa się to w sposób tak subtelny, tak wyrafinowany, że świat widzi wzorową skromność, a nawet cza-

sem i pobożność, gdy pod tem kryje się najwyszukańsza kokieterya! Dla tego jestem przekonana, że zawsze kobieta winna, jeśli mężczyzna bezskutecznie jéj się oświadcza.

— Masz przesadzone o tem wyobrażenia!

— Panna, która daje odkosza, dowodzi, że i po ślubie będzie w podobnéj sytuacyi, w któréj trzeba będzie wyraźnie odmawiać żądanego afektu!

— Zkąd takiéj filozofii nabrałaś? — zapytała z uśmiechem matka.

Lunia spuściła oczy.

— A z resztą—ciągnęła daléj Lunia—jakiegoż to tygrysiego serca potrzeba na to, aby komuś sprawić tak straszny zawód, który często na całe życie pozostawia wrażenie niczem nie zatarte!

— Jesteś egzaltowana! Na tysiąc mężczyzn zaledwie jeden uczuwa głęboko taki zawód.

— Dobrze, a któż może zaprzeczyć, że nie ten jeden nam się oświadczył? Ja sądzę, że właśnie pan Fabian, który jest taki zacny i wszystko na seryo bierze, byłby tym jednym z tysiąca. Dla tego nie wymownie cieszę się z tego, że wczoraj wyjechał, nie pokusiwszy się do oświadczenia o moją rękę. Zacny i poczciwy, ale ze łzami w oczach musiałabym mu dać odkosza.

W téj chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

Na nieszczęście służący gdzieś wyszedł. Dzwonek powtórzył się raz i drugi. Zdawało się Luni, że to listowy. Wstała z krzesła, i z lekkiem sercem, bez najmniejszego przeczucia pobiegła do drzwi.

Obróciła klucz w zamku i—cofnęła się.

Na progu stał pan Fabian.

W pierwszéj chwili chciała Lunia poprostu przeprosić niespodziewanego gościa; chciała powiedzieć, że rodziców w domu niema. Na nieszczęście zostawiła drzwi od jadalnego pokoju otwarte, przez które pan Fabian jak najwyraźniéj widział ojca Luni palącego cygaro.

Serce Luni ścisnęło się niedobrem przeczuciem, ale nie było innéj rady.

Pan Fabian z powagą wszedł do salonu.

Zrazu myślała Lunia, że najlepiéj będzie, jeśli do pana Fabiana nie wyjdzie, tylko ojcu całą sprawę pozostawi. Przeczuwała bowiem, że to o nią chodzi. Po krótkim jednak namyśle uznała, że tak źle będzie. Obecność jéj, rzucone nawiasem słówko może jeszcze burzę odwrócić i pana Fabiana na dotychczasowem stanowisku zatrzymać.

Postanowiła więc, bądź co bądź, wyjść także do salonu.

Wyszła więc prawie równocześnie z ojcem; matka dopiero za chwilę za nimi zdążyła.

Już sam widok pana Fabiana okazywał jasno, co się tu święci.

Pan Fabian był dzisiaj z niezwykłą starannością ubrany. Miał na sobie tużurek najnowszy, jakiego tylko w chwilach uroczystych używał. Szyja obwiązana była chustką czarną w małe białe prążki, co mogło oznaczać smutny i poważny nastrój wewnętrzy. Rękawiczki były świeże, kamaszki lakierowane.

Taki ubiór kazał się domniemywać, że pan Fabian coś bardzo ważnego ma w zanadrzu.

Lunia zbladła i westchnęła.

— Cóż panie Fabianie—ozwał się ojciec siląc się na dobry humor — zawróciłeś z drogi? Czyś spotkał wilka czy kota?

Pan Fabian rozdał z należytą powagą trzy uściski swoją silną ręką i odparł:

— Tak jest, zawróciłem z drogi, bo mi w drodze stanął nie wilk ani kot, ale tygrys krwiożerczy!

— Tygrys! tygrys!—powtórzył ojciec i matka.

— Każdy człowiek—mówił z namaszczeniem pan Fabian, — nosi w sobie anioła i tygrysa, i stosownie do okoliczności puszcza przed siebie jednego albo drugiego! Szczęśliwy, przed kim anioł rozwidnia drogę!

Pan Fabian westchnął tutaj. Oczy jego zwilżyły się i błysły jaśniéj. Lunia zbladła jeszcze więcéj.

— Ej! panie Fabianie, co nam tam po aniołach przed obiadem! zagadnął żartobliwie

ojciec. Może kieliszek koniaku albo *chartreuse?*

Pan Fabian zmarszczył czoło.

— Uprzedzam państwo,—rzekł po chwili,—że dzisiejsza wizyta moja jest zbyt poważną, aby ją przyprawiać kieliszkiem koniaku. Byłoby to wielkiem ubliżeniem dla każdéj kobiety, a mianowicie dla panny Ludwiki, dla któréj mam cześć najwyższą, aby przy brzęku kieliszków mówić o najważniejszéj sprawie życia ludzkiego!

Po tych słowach było już wszystkim jasno, że pan Fabian dąży wyraźnie do oświadczenia.

Lunia zadrżała i spojrzała błagalnie na pana Fabiana, który miał teraz w oczach coś wyzywającego.

— Panie Fabianie—ozwała się drżącym głosem—jeżeli jest sprawa tak ważna, jak pan mówisz, czyby nie było lepiéj odłożyć ją na czas inny? Często tak bywa, że sprawa, która nam się dzisiaj ważną wydaje, rozpływa się za dni kilka, jak sen złudny, z którego się potem sami śmiejemy!

Pan Fabian położył rękę na piersi. Twarz jego zarumieniła się rumieńcem szlachetnym.

— Jeżeli sprawę jaką nazywam ważną—odpowiedział głosem stanowczym,—to wierzaj mi pani, żem nad nią nie jedną noc bezsenną przemyślał! A wtedy zrasta się ona z naszem życiem, wchodzi nam w krew serdeczną i nie mo-

żna jéj tak prędko zapomnieć, jak się zapomina sen złudny, o którym pani mówisz!

Usta Luni zadrżały, oczy opadły na ziemię.

— Czy pan do téj ważnéj sprawy upatrzyłeś stosowną sytuacyę?—zapytał ojciec wydmuchując dym z cygara.

— Zdaje mi się, że w porę zdążyłem!

— Nie lękasz się pan okrutnych złudzeń?—zapytała zcicha Lunia.

— Dopokąd obawiałem się złudzeń, siedziałem cicho. Dzisiaj nie mam już nic przed sobą, żadnych fata morgana, żadnych złudnych marzeń, mam pewność!

Oczy pana Fabiana zwilżyły się przy tych słowach. Odwrócił je szybko do okna, aby tymczasem z wilgoci oschły.

Lunia uczuła w sercu swojem wielką boleść. Widziała przed sobą człowieka zacnego i poczciwego, którego jednak nie kochała, a któremu odmowną odpowiedzią miała zadać cios bolesny. Do tego łączyła się jeszcze obawa przed opinią publiczną, która według jéj sumiennéj teoryi obwini ją, że z nagannéj próżności przywiodła poczciwego człowieka do tego, że się na próżno jéj oświadczył!

— Panie Fabianie—ozwał się ojciec, widząc zakłopotanie córki—czybyśmy już na tem nie mogli téj rozmowy zakończyć i przejść do cygara i wista?

— Nie, panie—odpowiedział pan Fabian,—panna Ludwika ma prawo żądać, aby ta sprawa nie kończyła się na domyslnych półsłówkach!

— Zrzekam się tego prawa, panie Fabianie, i bądź pan przekonany, że sprawi mi to wielką radość, jeżeli pan za radą ojca pójdziesz.

Pan Fabian spojrzał pełnem okiem na Lunię. Była ona w téj chwili tak piękną jak mały cherubinek. Twarz jéj była lekko zarumieniona, w oczach drżały łzy, usta rozwarły się jak kielich kwiatu spragnionego rosy.

Westchnął nieszczęśliwy konkurent. Niebieskie oczy jego pociemniały, na twarz wystąpił rumieniec... Przypomniał sobie w téj chwili wszystkie sny swoje i marzenia, które wiązały się do tej kobiety, a od któréj teraz, może na zawsze się oddala!...

Lunia odczuła zapewne stan jego duszy, bo w jéj oczach rozlało się jakieś uczucie litości.

— Pani możesz się zrzec swego prawa,—odpowiedział męzkim głosem,—bo jesteś kobietą wyższą nad wszystkie marne stworzenia tego rodzaju, jesteś nie tylko piękna ciałem, ale piękniejsza jeszcze duszą i sercem... ale mnie nie wolno przyjąć tego zrzeczenia się, bo to zniżyłoby mnie do poziomu, na którym nigdy stać nie chcę!

— Pan żądasz rzeczy niepodobnych!—szepnęła zcicha Lunia i spuściła oczy.

— Gdzie o sumienie i obowiązki nasze chodzi, tam nie powinno nic być dla nas niepodobnem!

— Moje sumienie nic mi nie wyrzuca...

— Nie oskarżam go bynajmniéj; chodzi tu o moje sumienie i moje obowiązki.

— Nie możemy dobrze pana zrozumieć!—wtrącił ojciec Luni dosyć niecierpliwie.

— Zaraz się wytłomaczę, — odparł pan Fabian i spokojnie otarł chustką czoło.

Po niejakim czasie zaczął:

— Nie będzie zapewne tajemnicą dla państwa, że bywając tak często w tym domu miałem pewne zamiary.

— Za pozwoleniem—przerwał ojciec Luni—bywanie nie wkłada na pana ani na nas żadnych obowiązków!

— I ja nie sądziłbym inaczéj, gdyby ludzie szanowali cudzą sławę jak należy, i do najdrobniejszych wydarzeń nie przyczepiali ohydnych podejrzeń!

— Ja nic takiego, coby uwłaczało honorowi pana, nie słyszałem,—wtrącił ojciec.

— Przecież pan nikomu się nie oświadczałeś, ani odkosza nie dostałeś! — dorzuciła zręcznie Lunia, ostrzegając zapalonego konkurenta.

— Przyznam się—dodała matka, żeśmy o możliwych zamiarach przed nikim nic nie mówili!

— Ale moje zachowanie się było wymowne!

— Z zachowania się pana wnosiłam tylko, żeś pan był przyjacielem naszego domu—rzekła Lunia.

— Pani jesteś szlachetną, chcesz pani w pamięci swojéj wymazać to, co tam zapisanego być nie mogło.

— Przecież w tem nie upatrujesz pan żadnéj winy z mojéj strony?

— Wina jest po mojej stronie. Byłem nieoględny i krótkowidzący. Zdawało mi się, że kobieta powinna tylko pokochać, i już jest szczęście gotowe. Tymczasem szczęście jest słowo względne. Jednym wystarcza zgrzebna koszula, inni potrzebują perkalu, a są tacy którzy bez batystu żyć nie mogą. Tego, przyznam się, nie miałem na uwadze.

Luni zaszły oczy łzami. Cóż ona temu winna, że z jéj ideałem zrosły się koronki i batyst?

— W teoryi panie Fabianie — ozwał się ojciec—jest wszystko ładne i dobre, ale i dla rzeczywistości trzeba nam zawsze także coś zrobić!

Pan Fabian mówił daléj:

— I najpraktyczniejszy człowiek zbłądzić może. Są ludzie, którzy na czole mają napisane komu służą, czy Bogu czy cielcowi. Z innymi trzeba pierwej zjeść beczkę soli, aby ich poznać. Osobliwie odnosi się to do kobiet. Gdyby kobieta była szczerą, nie byłoby żadnych nieporozumień, nigdy nie potrzebowałaby dawać odkoszów. Ale rzecz się ma inaczéj. Panna

zaczyna z mężczyzną od poezyi, powiada mu, że o komfort, o bogactwa nigdy nie dba, że tylko za popędem serca pójdzie, a gdy mężczyzna do tego serca potem zapuka, okazuje się, że go tam dla tego nie puszczono, że nie był dosyć bogatym!... Cóż więc dziwnego, jeżeli mężczyzna okazywaną barwą się złudzi i jak parlamentarz spokojnie do zatkniętéj białéj chorągwi się zbliży, a tymczasem z fortecy powitają go strzałami...

— Czy masz pan tutaj kogo na myśli?—przerwała mówiącemu zarumieniona Lunia.

— Mam na myśli wszystkie panny, które w podobny sposób postępują—z powagą odparł pan Fabian—z wyjątkiem pani, która postępowaniem swojem dałaś mi dowody wysokiéj przyjaźni i zbyt delikatnego kobiecego uczucia....

Rumieniec lekkiego gniewu znikł z twarzy Luni, a natomiast w oczach ciemno-szafirowych zamigotało przyćmione światło.

— Szlachetne postępowanie pani — ciągnął dalej pan Fabian — nie uwalnia mię jednak od wypowiedzenia tego, com tak długo ukrywał w piersi mojéj, co tak długo stało przedemną jako ostateczny cel mego życia!

W oczach pana Fabiana błysnęły łzy.

— Wyświadczyłeś nam pan tem zaszczyt niemały—zagadnął ojciec—i jakkolwiek okoliczności nie złożyły się po temu, aby słowo mogło stać się ciałem, zawsze jednak pozostanie nam miła pamięć po chwilach razem spędzonych.

Ojciec Luni mniemał, że przykrą tę dla wszystkich sprawę tym sposobem zakończy.

Pan Fabian jednak nie dał tak prędko zbić się z toru.

— Niechże do téj pamięci dorzucę szczere wyznanie...

— Przecież pan białéj chorągwi nigdzie nie widzisz!—przerwała Lunia, któréj twarz znowu pobladła.

— Szczere wyznanie—ciągnął daléj z powagą pan Fabian — że nigdy w sercu mojem nie powstało rozkoszniejsze uczucie nad to, jakie mi dawała nadzieja...

— Przecież pan nikomu nie chcesz się oświadczać!—przerwała znowu przelękniona Lunia.

— Przeciwnie — mówił daléj nieustraszony pan Fabian,—przeciwnie, chcę wyznać otwarcie w obec rodziców pani.....

— Żeś pan zawsze był życzliwym moim przyjacielem!—drżącym głosem podsunęła Lunia.

— Żem panią kochał i uwielbiał nad wszystkie kobiety tego świata...

Lunia była blizką omdlenia!

— Mój Boże!—krzyknęła—stało się wielkie nieszczęście! Bóg świadkiem, jam niewinna!

— Że miłość ta stała się potrzebą mego życia, że bez niéj widzę przed sobą tylko noc ciemną, zimną i samotność aż do grobu!

— Jam niewinna, jam niewinna! — jęczała Lunia.

— A teraz—mówił daléj pan Fabian całując rękę Luni,—teraz przyjmij pani moje otwarte i szczere oświadczenie, i proszę....

— Mój Boże! Mój Boże!

— Proszę... szczerze i otwarcie.

— Zlituj się pan!

— Wymów pani to dziwne słowo, o którem jeszcze nie wiem, jak działa na nerwy!

— Jesteś pan okrutny dla siebie, okrutniejszy dla mnie!

— Mów pani z odwagą, jestem spokojny.

— Nie mogę!

— Zdaje mi się panie Fabianie,—ozwała się matka—że odpowiedź jest już jasna i że na tem możesz pan poprzestać. Lunia jest zbyt nerwowa.

— Nie pani, panna Ludwika otwarcie i solennie musi mi dać... odkosza!

Lunia odsłoniła nagle oczy i spojrzała z zadziwieniem na dziwacznego konkurenta.

Zadziwienie to podzielili i rodzice.

— Pan chcesz tylko... odkosza? — zapytała Lunia patrząc zapłakanem okiem na pana Fabiana.

— Tak jest pani... odkosza!—odparł spokojnie pan Fabian, chociaż usta jego mimowolnie drżały, a twarz ożywiała się coraz więcéj.

— Odkosza!

— Wiedziałem dobrze, że o rękę i serce pani kusiłbym się daremnie!

Nastąpiła dłuższa, uroczysta pauza.

— Jesteś pan dziwakiem, panie Fabianie,—ozwał się ojciec—postępowania pańskiego bynajmniéj nie pojmuję!

— Być może—odparł pan Fabian, a pot kroplisty występował mu na czoło,—być może, że postępowanie moje jest dla państwa dziwactwem, bo nie znacie państwo sytuacyi, jak się ona patrzącym zdala przedstawia!

— Chciéj się pan jaśniéj wytłómaczyć!—zagadnął po chwili namysłu ojciec.

— Zaraz to uczynię. Przez trzy prawie miesiące byłem codziennym gościem. Miałem nadzieję pozyskania serca panny Ludwiki. Wprawdzie nie brakło mi na ostrzeżeniach tak ze strony panny Ludwiki jak i państwa, że nadzieja moja jest daremna. Łudziłem siebie zwykłą grzecznością tak z jednéj jak i z drugiéj strony; lękałem się niedobrze widzieć, chociaż powinienem był być przekonany, że dobrze widzę. Tym sposobem wprowadziłem w błąd opinię publiczną!

— Cóż panu na téj opinii tak bardzo zależy?

— Mnie na opinii bynajmniéj nie zależy, ale zależeć powinno pannie Ludwice. Opinia publiczna wzięła mnie za zdeklarowanego konkurenta, pobłażanie państwa za przyzwolenie. Mówiono już o zapowiedziach i o ślubie. Kie-

dy więc wczoraj z nadziei mojéj zrezygnować i z miasta wyjechać postanowiłem, niezawiadomiona o właściwych powodach opinia publiczna rozgadała na wszystkie części świata, żem pannę opuścił!

Rodzice Luni spojrzeli z zadziwieniem po sobie. Twarz Luni zbladła.

— Wczoraj po różnych wieczorach rozmawiano o tem w sposób najrozmaitszy. Można się było przy tych rozmowach przekonać, jak złośliwi są ludzie, jak im lada pozoru trzeba, aby innych zabić! Panna Ludwika po takich rozmowach ucierpiałaby wiele, bardzo wiele!

Lunia otarła łzy z oczu.

— Nie będę tutaj powtarzał ohydnych podejrzeń, jakie rzucano na pannę Ludwikę, aby nagłą ucieczkę konkurenta czemś upowodować! Rzucono się nawet na sławę domu...

— I pan chciałeś mnie i dom nasz od potwarzy ocalić poświęcając siebie?—przerwała drżącym głosem zapłakana Lunia.

— Sumienie moje nakazywało mi tak uczynić. Rzeczy niejasnej dałem koniec dosyć jasny. Teraz dowiedzą się ludzie, że od panny milczkiem nie uciekłem, ale solennie oświadczyłem się i dostałem odkosza! Opinia panny Ludwiki będzie czysta i nienaruszona!

— Pan jesteś tak szlachetny!—szepnęła Lunia zasłaniając oczy chustką.

— Wypełniłem tylko mój obowiązek. Jeżeli pani będziesz szczęśliwą, niech ci śród szczęścia stanie przed oczyma wspomnienie, że znałaś człowieka, który tak dziwacznem postępowaniem chciał dowieść, że cię czcił, kochał i uwielbiał nad wszystko w świecie.... nad własną miłość!

Rzekłszy to pan Fabian otarł pot z zarumienionego czoła, ukłonił się wszystkim, którzy z zadziwienia jeszcze do siebie przyjść nie mogli, i wypadł na ulicę.

Nazajutrz mówiono w całem mieście o tem zdarzeniu. Jedni mówili że pan Fabian jak zwykły śmiertelnik oświadczył się pannie i dostał odkosza. Drudzy mówili inaczéj, jak to zazwyczaj bywa.

Dłużnik pana Fabiana poczuwał się jednak do obowiązku oświecić opinię publiczną i wszystko opowiedzieć jak w istocie było.

Lunia i rodzice nie robili również, z tego co zaszło, tajemnicy. Luni chodziło także o to, że nie dała zwykłego odkosza.

Po tem wyjaśnieniu zyskał pan Fabian bardzo wiele. Pozorne jego dziwactwo przybrało cechę szlachetnego charakteru. Mówiono o nim coraz więcéj i coraz lepiéj, i powoli rósł w sławę bardzo zacnego i poczciwego człowieka.

Lunia o nim myślała dzień cały i całą noc bezsenną; w drugim dniu nasłuchała się o nim

wiele pięknych i dobrych rzeczy, a trzeciego dnia położyła się do łóżka z wielką gorączką, która cały jéj organizm opanowała!...

. . . . . .

* * *

A teraz jakiż koniec będzie?

Nie wiem!

Podług mego zdania, Lunia, gdy wyzdrowieje, powinna, po tem co zaszło, pana Fabiana pokochać; powinna iść za niego z prawdziwéj miłości. Po wydaniu córki za mąż, powinni rodzice dom kosztowny w mieście zwinąć, a oszczędność ztąd uzyskana, podniesie majątek pana Fabiana do wystarczającej fortuny.

Takie byłoby moje zdanie, chociaż panna Michalina wcale się z niem nie zgadza. Utrzymuje ona, że pan Fabian za mało ma salonowego dowcipu, jest, jak na męża, zanadto poczciwy, a Lunia udatną swoją kibicią, klassycznym kształtem noska i małą nóżką mogłaby ułowić świetniejszą partyę, chociaż nie jest panną posażną!

Obawiam się, że przy pozytywizmie dzisiejszym, Lunia, idąc za radą Michaliny, łatwo może zostać... starą panną!

Zresztą otwieram pole do powszechnéj dyskussyi. Jeżeli która z pięknych czytelniczek

sądzi, że Lunia nie może iść za pana Fabiana, bo to sprzeciwiałoby się logice serca kobiecego; że kobiety, która nie kocha, żadnym choćby bohaterskim czynem do miłości zmusić nie można: w takim razie upraszam o udzielenie mi wszystkich w tym względzie zdań możliwych, z których przy powtórnéj edycyi niniejszéj powiastki sumiennie skorzystać nie omieszkam.

Krzywcza nad Sanem, 1873.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

W Maju 1874 r.

Gdy w jesieni zeszłego roku Kronika Rodzinna, „Sumiennego Konkurenta“, drukiem ogłosiła, byłem pewny, że pan Fabian już dawno jest szczęśliwym małżonkiem panny Ludwiki, i że ulegając wymaganiom mody wywiózł ją na kilka tygodni za granicę, aby tym sposobem zjednać sobie jéj przyjaciółkę, pannę Michalinę, która utrzymywała, że bez wyjazdu za granicę, nie można młodéj żony pod strzechę rodzinną wprowadzić.

Tymczasem stało się inaczéj.

Zaraz po ukończeniu mojéj powiastki, w któréj tak szczere dawałem rady pannie Ludwice, aby z panem Fabianem do ślubu uklękła, nadeszły do mnie różne listy z protestem, że projektowane przezemnie małżeństwo w żaden sposób do skutku przyjść nie może.

Różne były powody tych protestów. W jednym z tych listów pisze rączka wyraźnie kobieca, że pan Fabian żadnéj, cokolwiek wybredniejszéj pannie podobać się nie może; że taka bezwzględna prawość i zacność jest za nudna, i że ciekawszym dla każdéj kobiety jest spry-

tny złoczyńca (wyraz bardzo niejasny), niżeli najzacniejsza chodząca prostota.

W drugim liście starano się dowieść, że serca kobiecego niczem nie można przekonać. Ono potrzebuje kochać,—a jeśli nie kocha, to żadne rozumowanie i namowy nie wzbudzą w niem tego uczucia, które zazwyczaj miłością się nazywa.

Lunia, jak widać, nie kochała nigdy pana Fabiana; z czego wypływa, że pan Fabian żadnem, choćby największem poświęceniem się, nie może Luni zmusić do wzajemności. Może ona mieć dla niego litość lub szacunek, ale nigdy nie będzie go kochała. Mając jednak sumienność pana Fabiana na względzie, można się od niego spodziewać, że nie zadowoli się podobnym surrogatem szczęścia i Lunię zostawi temu, z którym więcéj szczęśliwą być może.

Trzeci list ubolewa nad Lunią, która w związku z panem Fabianem szczęśliwą być nie może. W liście tym, pod płaszczykiem sentymentalnego idealizmu, przebija modny kubrak czcicieli Darwina. Autorka listu utrzymuje, że człowiek, jak każda inna istota, stosuje się do warunków swego bytu, i jest tem, co te warunki z niego urobiły. Jeżeli naprzykład zwierze jakie, bierze w siebie pewne pożywienie, to pożywienie wyrabia w nim pewne nawyknienia i instynkta, których potem zmienić w żaden sposób nie można. Stosując tę zasadę do Luni, trudno od niéj żądać,

aby idąc za pana Fabiana, zmieniła nagle całą swoją istotę. A do istoty Luni należy to wszystko, w czem ją wychowano. A wychowano ją do karety, do kostiumów pani Włodkowskiéj, do loży pierwszopiętrowéj i do próżniactwa. Cóż się więc z jéj istotą stanie, jeżeli pan Fabian za małżonkę ją pojmie, a tego pokarmu jej nie da, na jakim ją wychowano?...

Wiele jeszcze listów mógłbym tu przytoczyć, gdyby czas i miejsce nie ograniczały mego zapędu.

Jednego przecież świadka odwodowego nie mogę przemilczeć.

Jest nim pan Dyonizy, zapalony przyjaciel pana Fabiana. Przyszedł do mnie smutny, z głową pochyloną na piersi, a westchnąwszy kilka razy, rzekł:

— Nie mam żadnych stosunków z panną Michaliną, Lunię znam tylko z widzenia, a przyjaźń prawdziwa łączy mnie z panem Fabianem. Jeżeli więc o moim przyjacielu coś niekorzystnego powiem, będzie to dowodem, że tylko bezwzględna prawda zmusza mnie do tego.

Byłem przekonany, że o panu Fabianie nic złego powiedzieć nie można. Z ironicznym uśmiechem słuchałem jego przyjaciela, którego podejrzywałem, że jest owym dłużnikiem, który „na kilka godzin“ od niego paręset złotych pożyczył.

— Za pozwoleniem, odezwałem się do pana

Dyonizego, nim dasz pan świadectwo o panu Fabianie, chciéj mi naprzód powiedzieć, czy nie pożyczałeś kiedy od niego pieniędzy?

Pan Dyonizy spojrzał z pogardą na mnie.

— Zasadą moją jest,—odrzekł,—od przyjaciół pieniędzy nie pożyczać. Ów dłużnik, o którym pan myślisz, nie tylko od pana Fabiana ale i odemnie często pożycza!

— Przepraszam—a teraz słucham pana!

— Pan Fabian, mój serdeczny przyjaciel.... nie może, jak pan przewidujesz, ożenić się z Lunią!..

— Jak to! Tak szlachetny człowiek nie mógłby zniewolić tego złotego serduszka?

— Ten szlachetny człowiek popełnił błąd w ostatniéj rozmowie z Lunią, co mu bezkarnie ujść nie może!

— Błąd?... Jakiż błąd?—zapytałem przestraszony o losy pana Fabiana.

Pan Dyonizy uśmiechnął się z ironią.

— Ja nie chcę nikomu szkodzić, a tem mniéj memu przyjacielowi, od którego nigdy pieniędzy nie pożyczałem. Nie chcę więc sam tego błędu wytykać, aby potem ludzie nie powiedzieli, że przyjaciela mego zgubiłem. Sądzę jednak, że znajdzie się ktoś, który ten błąd obaczy, i z niego na niekorzyść mego przyjaciela skorzysta. Ja umywam ręce i nie chcę być winnym... kosza, jaki po raz wtóry może dostać pan Fabian.

— Czyż może być Lunia tak okrutną?

— Na dobre serca najwięcéj wpływa dowcipna złośliwość...

— Masz pan na myśli pannę Michalinę...

— Ja nic nie mówię... twierdzę tylko, że pan Fabian, jak na teraz, z Lunią się nie ożeni a to z własnéj swojéj winy. Powtarzam, popełnił on przez porywczość swoją błąd, za który słusznie pokutować może!

Zamyśliłem się nad nieszczęśliwym losem mego wychowańca, i po niejakim namyśle przekonałem się z przestrachem, że pan Dyonizy ma słuszność.

Dowiodły tego dalsze losy pana Fabiana, o których się prawem autora dowiedziałem, a które w chronologicznym przebiegu szanownym czytelnikom Kroniki przedstawiam.

Gdy na początku wiosny zeszłego roku, pan Fabian w tak heroiczny sposób o Lunię się oświadczył, aby przynajmniéj dobrą jej sławę uratować, odszedł do domu z sercem wprawdzie rozdartem, ale o tyle spokojniejszem, o ile w takim razie uspakajająco działa każdy szlachetny uczynek.

Pan Fabian dostał wprawdzie odkosza, ale miał teraz sumienie spokojne. Nikt nie mógł już powiedzieć, że Luni wyrządził krzywdę. Za nieuwagę zapłacił własnym kosztem, błąd po-

pełniony naprawił, czem tylko naprawić było można. Świat złośliwy nie mógł teraz rzucić oszczerstwa na kobietę, którą on czcił i ubóztwiał, bo on sam nastawił mu grzbiet swój, na który posypały się razy z widoczną rozkoszą licznych spektatorów.

Widok takich spektatorów nie bardzo jest przyjemny. Czuł to pan Fabian i postanowił takiego widoku uniknąć, wyjeżdżając czemprędzéj z miasta.

Przywiązany przyjaciel jego i dłużnik zastał go klęczącego na podłodze i zapinającego z całem skupieniem ducha tłomok podróżny.

— Zlituj się! Cóż robisz! Mów, co się stało? —zawołał przyjaciel zaraz na progu.

Pan Fabian z powagą spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się smutno.

— Jestem już u celu mego życia!—rzekł po chwili

— Jakto? przyjęła twoje oświadczenie?

— Tego dzisiaj wcale nie oczekiwałem. Chciałem tylko naprawić mój błąd, aby od panny odwrócić wszystkie złe języki. Tego właśnie dopiąłem, a to był na dzisiaj ostateczny... ostateczny cel mego życia! Od niego poczyna się teraz szara przestrzeń stepu, przez który jeszcze przebrnąć trzeba, szukając spokojnego grobu!

— Zlituj się, mówisz jak Werther! Któż dzisiaj, w drugiéj połowie dziewiętnastego wieku, tak mówi!

— Wertherem nie jestem, bo się życia nie myślę własną ręką pozbawiać. W jednéj połowie jednak jestem już zabity, a drugą połową chcę jeszcze żyć choćby dla obowiązków!

— Ależ to istna melancholia!

— Niekoniecznie. Mogę być jeszcze czasem wesołym i rozmownym... ale bądź pewny, że drugi raz po serce kobiece już nie sięgnę!

— Mówisz tak, bo ból jeszcze świeży...

— Albo jest miłość, albo są tylko pewne potrzeby życia, które w jakimbądź magazynie kupić można!

— Dzisiaj rozsądnie z tobą mówić nie podobna.

— Zaczekam w mojem ustroniu, póki ten wasz rozsądek do mnie nie przyjdzie!

— Czy chcesz z miasta odjeżdżać?

— Wszak widzisz, że się zbieram.

— Tego w żaden sposób uczynić nie możesz!

— Dla czego?

— Gdy teraz nagle na wieś wyjedziesz, będą ludzie o tobie różne cuda rozpowiadali.

— Jakim sposobem wzbronię im tego?

— Jeżeli tu zostaniesz, i codziennie okażesz im twarz wesołą i pogodną; jeżeli nawet Luni unikać nie będziesz, a nawet o ile można publicznie przy niej okazywać się nie zaniedbasz! To wpływa zazwyczaj na uśmierzenie homerycznego okrzyku, jaki zawsze towarzyszy nieszczęśliwemu konkurentowi!

— Czy chcesz, abym odgrywał rolę, która nie jest mi właściwą?

— Trzeba światu okazać, żeś nie wiele stracił!..

— A jakże mogę kłamać, kiedy rzeczywiście straciłem bardzo wiele?...

— Jeżeli już do tego stopnia jesteś sumienny, że nawet przed złośliwym światem nie chcesz ukrywać swojéj boleści, z któréj ten świat zwykle się naigrawa, to już i ja ci radzę, abyś jak najprędzéj z miasta wyjechał, bo szczera boleść twoja tylko złośliwych do tem większych konceptów na twój koszt ośmieli. Przynajmniéj nie będą widzieli twojéj umartwionéj twarzy.

Tak mówił szlachetny dłużnik w ostatnich chwilach karnawałowej wyprawy pana Fabiana po złote runo małżeńskie, a odprowadziwszy go na dworzec kolei petersburskiéj, zjadł tamże z wielkiego rozczulenia dwa bifsztyki z perdutą na koszt przyjaciela, za co serdecznie go na drogę ucałował.

Wyjazd pana Fabiana, jakkolwiek przez przyjaciela-dłużnika nie aprobowany, sprawił jednak dla niego jak najlepsze wrażenie.

Od czasów tragedyi greckiéj niezaprzeczoną jest prawdą, że po każdym większym i głośniejszym czynie, powinien człowiek zniknąć, aby czyn tem jaśniejszy pozostał.

Gdyby pan Fabian po tak heroicznem oświadczeniu się w mieście był pozostał, gdyby ciekawi spektatorowie codziennie jego przygarbioną postać oglądali, gdyby co większa widzieli go zajadającego zrazy z kaszą i pijącego piwo bawarskie — nie widzieliby przy głowie jego owéj aureoli, jaka słusznie należy się każdemu bohaterowi. Pan Fabian mimo koturna zmalałby w oczach ich, jak każdy inny śmiertelny człowiek, a nawet ośmieliłby i mniéj dowcipnych ludzi do próbowania na sobie płaskich konceptów.

Pan Fabian jednak, po swoim głośnym czynie, znikł z widowni świata jak bohater grecki.

I zrobił bardzo dobrze.

Każdy bohater po spełnieniu czynu rośnie w wyobraźni naszéj, w miarę jak się od oczu naszych oddala. Wszystkie szczegóły ludzkiéj natury nikną wtedy, a oko duszy naszéj widzi przed sobą postać, jaką zidealizował czyn spełniony.

Stosownie więc do téj prawdy odwiecznéj zaczął pan Fabian, mimo braku klassyczności w rysach, rość coraz więcéj w oczach spektatorów na bohatera prawdziwego greckiego zakroju.

Sprzyjała mu do tego sama istota złośliwości ludzkiéj. Twierdzenie, że nic nie ginie w świecie fizycznym, można zastosować i do sfer psy-

chicznych. Złośliwość ludzka istnieje w sercach ludzkich i marnie zginąć nie może. Przerzuca się tylko z jednego przedmiotu na drugi.

Gdyby pan Fabian po spełnionym czynie, wszystkie szczegóły swojéj ludzkiéj natury światu nań patrzącemu okazywał, byłby ten świat bawił się jego kosztem jak się zazwyczaj bawi każdym zwyciężonym.

Pan Fabian jednak po dokonanym czynie ulotnił się nagle, zostawiwszy za soba jasną smugę światła, która patrzących uderzyła.

Niewidzialny dla zwykłych oczu bohater, wszedł od razu w posiadanie wszystkich przywilejów bohatera, a cały expens złośliwości ludzkiéj zwrócił się na inny przedmiot.

Przedmiotem tym była—Lunia.

Pan Fabian nie przewidział wcale, że przez swoje niepraktykowane poświęcenie się stworzył coś, co wprost było przeciwnem jego zamiarom.

Cała złość ludzka zwróciła się przeciw opinii kobiety, którą on chciał od złych języków zasłonić.

— Ależ znam go dobrze,—mówił panMichał— to bardzo porządny człowiek! Ale ona, ona... to ziółko! Czyż potrzeba było z poczciwego człowieka żarty sobie stroić, przyciągać go rozmaitemi środeczkami, aby potem zaprządz go jak żydowską szkapę do rydwanu tryumfów swoich?... To gorzej niż nieszlachetnie!

— Przecież można było — mówiła jedna z przyjaciółek Luni—zaraz z początku namarkować mu stanowisko, a nie odpędzać go potem wśród śmiechu rzeszy od stołu, do którego nie mógł być przypuszczony! Ale to lekka dziewczyna, niby cicha i potulna...

— Oho ho!—wołał pan Maryan,—cicha woda brzegi rwie! Zaraz to mówiłem, gdym tę trusię z panem Fabianem razem obaczył!.. Człowiek niebogaty, wyexpensował się w mieście, aby kaprysom kokietki zadość uczynić.

— A ja powiadam —prawiła matka siedmiu córek — że takie zabawki kokieteryi są właściwym powodem, iż mężczyzni dzisiaj żenić się nie chcą! Jedni sparzyli się na takiéj grze niesumiennéj i nie ufają grze uczciwéj; inni odnoszą blizny, które zagoić się nie chcą. Jedni i drudzy są straceni dla stanu małżeńskiego, i zamiast zdrowéj, domowéj strawy, wybierają sobie inne narkotyki do życia, aby odzywający się w głębi duszy ból przygłuszyć. Kobiety, które w ten sposób mężczyzn zrażają, powinny być wyrzucone z towarzystwa.

Tak i w ten sposób mówiono o Luni. Nie wszystko jednak odrazu doszło do niéj. Zbliżali się do niéj wprawdzie najprzód ludzie niby życzliwi, i mówiąc o panu Fabianie unosili się nad jego poczciwością. Widzieli w nim rzadki egzemplarz konkurenta, który nietylko o pannie nic złego nie mówi, ale nawet

poświęca się dla jéj dobréj sławy, chociaż panna dała mu kosza. Widziano w takiem poświęceniu się rzadki afekt serca, o jaki dzisiaj bardzo trudno. Słowem, malowano pana Fabiana wobec Luni w kolorach jak najjaśniejszych; z czego naturalnie wypływało, że na Lunię padał cień niefortunny, że jéj cała postać tworzyła niejako kontrast z postacią bohatera.

Drażliwe sumienie Luni czuło w dwójnasób to, co jéj homeopatycznie przyjaciółki podawały, ale nie miała na to żadnéj rady. Pan Fabian był dalekim od ideału, do jakiego ją wychowano. Postać jego nie miała owego wykwintnego tła, jakie tworzą złocone makaty, w amfiladzie gubiące się pokoje, lub urocze z niebem włoskiem pejzaże. Za jego plecami odbijał się tylko na szarym horyzoncie skromny dworek, przy którym studnia folwarczna ze skrzypiącym żórawiem i ogródek warzywny. Było w tem tyle prozy a tak mało świetnych efektów! Jakże to z wyżyny snów i marzeń zniżyć się do takiego życia, przy którem trzebaby zerwać wszystkie dotychczasowe stosunki! Cóż na to powie księżna Pelagia, która wczoraj na herbacie u państwa X. tak czule za rękę ją ściskała? Jakże tu zejść się potem z panem Heliodorem, który jéj zawsze tylko o Paryżu i stosunkach swoich z księżną Matyldą prawi? Jakże od tych pięknych rzeczy wyjechać na folwark i stać przy dojeniu krów?

Nie, tak nizko ze swoich zamków nie mogła zejść Lunia. Wolała popłakać trochę, wolała nawet do łóżka się położyć i całą dzisiejszą drażliwą sytuacyę przechorować, niżeli zrobić dla zacnego Fabiana ofiarę z tego wszystkiego do czego ją wychowano.

Mimo tak szlachetnego oporu, wciskał się jednak coraz więcéj sumienny konkurent do nie mniéj szlachetnego serduszka. Nie śmiało i z wszelką dyskrecyą stał u wejścia; nic nie mówił, niczego nie żądał—a jednak biedne, strapione serduszko otwierało się coraz więcéj i gotowało mu zwolna gościnne przyjęcie.

Przyczyniły się do tego nie mało pochwały sumiennego konkurenta. Lunia czuła coraz więcéj potrzebę wyjścia z nieprzyjemnego zacienia, jaki na nią rzucała jasna postać pana Fabiana; chciała się z nim zrównać, jeżeli go przewyższyć nie można!

I zwolna i nieznacznie rozpoczęła się psychiczna praca w tym kierunku. Postać Fabiana urabiała się coraz więcéj do jéj ideału, z którego w miarę téj pracy, zaczęły powoli odpadać złote makaty, koronki i inne wykwintne akcessorya.

Nie obeszło się to jednak bez bólu. Wykwintne akcessorya tak ściśle zrosły się z jéj idealikiem, że każde szarpnięcie sprawiało boleść niesłychaną. A tu trzeba było tyle rzeczy oddzierać i odprówać... jakże to boli! Tyle lat stra-

cono, aby ten idealik przybrać i wystroić; tyle stosunków pozawiązywano ze światem, aby dla tego idealiku zdobyć jak najpyszniejsze stroje— a teraz trzeba to wszystko próć i skubać, aby go sprowadzić do naturalnéj postawy człowieka!..

Otóż, przy tak szlachetnéj pracy napadała Lunię często silna reakcya. Chciała zatrzymać swój kunsztowny ideał i szukała skwapliwie powodów do tego. Chciała koniecznie coś znaleźć, coby na niekorzyść pana Fabiana mówiło; chciała widzieć go niegodnym tak wielkiéj ofiary jaką miała ponieść dla niego, chciała słowem nie kochać go, albo nawet nienawidzieć!

Z taką ukrytą myślą wypytywała się o ujemne strony pana Fabiana, śledziła pilnie wszystko, co tylko przeciw panu Fabianowi świadczyć mogło.

Ale pan Fabian był teraz ulubionem dzieckiem opinii publicznéj. Chwalono go z całą przesadą właściwą téj nerwowéj kobiecie, widziano w nim zalety i przymioty, o jakich dawniéj nie myślano. Nawet młode panienki wymawiały bez chichotu jego nazwisko i do tego rumieniły się, jakby na widok ubóstwionego bohatera wszystkich pensyonarek.

Lunia nie mogła nic usłyszyć, coby ją od pana Fabiana słusznie odwrócić mogło. Wszystko co słyszała dążyło do tego, aby mu uprzejmie serduszko otworzyć i tam po królewsku go ugościć.

I już zwolna przygotowała mu rozkoszne przyjęcie, i już przed wielbicielkami pana Fabiana zaczęła się po cichu ze swoich planów spowiadać—kiedy nagle w całéj téj sprawie nastąpił zwrot niespodziewany.

Zwrot ten, który szczęściu pana Fabiana zagroził, był wprawdzie na pozór niespodziewany, ale w gruncie rzeczy nastąpić musiał. Był on prostą konsekwencyą błędu, jaki pan Fabian w ostatniéj z Lunią rozmowie popełnił, a za który, jak twierdzi jego przyjaciel pan Dyonizy, koniecznie odpokutować musiał.

Nemezą tego błędu nie mógł być kto inny, jak piękna ale złośliwa Michalina, ów zły duch pana Fabiana, który mu całe to nieszczęście zgotował.

Zanim jednak Michalinę w téj roli obaczymy, trzeba wprzódy zastanowić się nad tem małem, pięknem a tak złośliwem stworzeńkiem, i zbadać zkąd się w tak pięknem ciałku wziął taki duch niedobry.

Michalina weszła w świat z szesnastą wiosną życia, a z ukrycia swego wyszła cała uzbrojona i ubrana jak Minerwa z głowy Jowisza. Pierwsze słowo, które wymówiła wtedy, było dowcipne lecz złośliwe, zabarwione ironią i pessymizmem.

Zkąd się to w niéj wzięło?

Michalina miała dosyć zamożnych rodziców, którzy, stosując się do zwyczajów krajowych, sprowadzili dla niéj najprzód bonę a potem guwernantkę z Paryża.

Bona była kobietą bardzo nizkiego poziomu. Prócz paryzkiego akcentu i frazesów pół-światowych, miała dobry apetyt i podniebienie dosyć drażliwe. Zadaniem jéj życia było jeść dużo, jak najczęściéj, i na tym czysto kuchennym poziomie postawiła odrazu młodą Michalinkę. Wyuczyła ją więc smaku dobréj kuchni, i całą istotę ludzką skierowała do rozkoszy podniebienia, co jest fundamentem rozwoju innych zmysłów.

Po bonie przyszła guwernantka, czysta Paryżanka. Była to stara panna z czołem zawsze zachmurzonem. To czoło było niegdyś jasne i otwarte; tryskały w niem złote, piękne marzenia. Jakiś złoty młodzieniec podsycił te marzenia złotym deszczem, ale plon z tego deszczu był bardzo smutny i opłakany.

Odtąd wplatają się w jéj życie jaśniejsze i ciemniejsze epizody. Po jaskrawéj smudze szczęścia następuje ciemny pas nieszczęścia i zawodu, po wykwincie życia—nędza i ubóstwo.

W chwilach namiętnych przemawiano do niej mową bogów, poezyą i wyszukanemi frazesami, a gdy uniesienie minęło, zostawiono ją na barłogu...

I tak całe życie jej splatało się z samych

złud i zawodów, a im więcej zbliżała się starość, tem więcej żółci dla zdradliwego świata sączyło się do jej duszy, tem brzydszym wydawał się jej ten świat ongi tak piękny w namiętnościach swoich.

Obawa przed śmiercią głodową dała jej książkę do ręki i zmusiła zostać nauczycielką młodego pokolenia.

I czegoż mogła to pokolenie nauczyć nieszczęśliwa stara panna, ofiara zawodów życia, pełna żółci i skarg na ten świat nieznośny, który jej wszystko odebrał a nic nie dał?

Nauczycielstwo nie było u niej celem życia, nie przygotowała się do niego głębszą nauką, bo nigdy nie czuła do tego właściwego powołania. Było ono tylko ostatnią deską ratunku dla rozbitka, aby na życie zarobić. Powierzchowną więc ogładą pokryła brak głębszej wiedzy, a paryzki akcent uzupełnił resztę.

Taka nauczycielka miała wychować przyszłą kobietę. Ofiara licznych zawodów i rozczarowań postawiła odrazu młodą dziewczynę na swoim poziomie, z którego okazywała jej świat brzydki i samolubny.

W młode serce wychowanki sączyła się więc nauka skeptycyzmu, ubarwiona błyskotem dowcipu i zręcznych, sarkastycznych frazesów. Świat ducha i uczucia był u niej zerem, bo w tym świecie wszystko ją zawiodło. Wartością dla niej była tylko rzeczywistość namacalna

a przedewszystkiem pieniądze—a poezyą to wszystko, co za pieniądze mieć można.

Wszystko zresztą było złudzeniem i śmiesznością.

Michalina wzrosła więc na takim poziomie zasad i wyobrażeń, a młoda jej dusza starała się nawet prześcignąć wzór, jaki miała przed sobą.

Matka, zajęta stosunkami towarzyskiemi, nie miała czasu uczuciem macierzyńskiem rozegrzać wyziębionego tak wcześnie serca swojej córki; czasem nawet taki kierunek wydawał się jej dobrym, gdyż dawał gwarancye, że Michalina nie zwichnie dla jakiegoś tam sentymentu świetnej karyery swojej, o jakiej w jej domu marzono.

To tłómaczy nam całą istotę dzisiejszej Michaliny. Od owego czasu zmieniło się wiele wokoło niej, ale ona pozostała ta sama. Rodzice pomarli, karyery dotąd świetnej trudno było znaleźć, a biedna ciotka miała wiele kłopotów z piękną, kapryśną i złośliwą siostrzenicą.

Goniąca z uśmiechem i dowcipem za świetną karyerą, Michalina przyzwyczaiła się do tego uśmiechu i dowcipu, i w braku pewnych danych sytuacyj usiłowała stwarzać takowe, aby się przy nich dostatecznie uśmiać i ubawić.

Ta jej natura była powodem, że dla biednego pana Fabiana zgotowała tak niefortunną sytuacyę, która mu tyle boleści przyniosła.

Sytuacya ta miała według jej rachunku zakończyć się komicznie Pan Fabian miał dostać kosza, a przyjaciółka jej miała wziąć na głowę laur tryumfu, którego tak gorąco łakną wszystkie płytkie istotki.

Plan ten nie udał się. Wprawdzie pan Fabian dostał odkosza, ale sumienność jego i prawdziwe dla Luni uczucie, z góry przedzierzgnęło tę ułożoną farsę w dramat poważny, w którym dano mu oklask jako bohaterowi.

Złośliwa natura Michaliny nie mogła znieść aureoli bohatera tam, gdzie śmieszności się spodziewała; bolało ją to, że pan Fabian po tym odkoszu wcale śmiesznie nie wyglądał, że przeciwnie rósł w opinii publicznej coraz wyżej, a w końcu stał się prawie bohaterem.

Był to zupełnie odmienny skutek od tego, jaki ona sobie dla igraszki założyła. Bolało ją to i gniewało, bo złośliwa natura jej serduszka nie mogła znieść tego, na co teraz patrzała.

Zaczęła więc ośmieszać biednego bohatera dowcipem i sarkazmem; ale znalazła tak liczny szereg jego wielbicieli, że broń tę uznała za bezskuteczną.

Tymczasem groziło jej większe jeszcze zmartwienie.

Zaczęły się rozchodzić głuche wieści, że Lunia zaczyna się nawracać do nieszczęśliwego bohatera i że nawet użyto pewnego pośrednictwa, aby go do miasta sprowadzić.

Michalina postanowiła to udaremnić. Powiedziała sama przed sobą, że robi to dla szczęścia Luni, która pod wpływem sentymentalnego rozdrażnienia mogłaby łatwo taki lekkomyślny krok uczynić.

Chodziło tylko o skuteczną broń, a broń ta, o której wspominał już pan Dyonizy, znalazła się. Miał jej dostarczyć sam pan Fabian.

Lunia przyszła o tyle do zdrowia, że mogła już wstać z łóżka i siedzieć na fotelu. Była blada i przezroczysta, co dowodziło, że doznała wielkiego wzruszenia. Na jej twarzy igrał uśmiech łagodny, podobny do pasma błękitu, który jest zwiastunem pogody po przebytej burzy. W szafirowych oczach migotało jakieś słodkie marzenie, a blade usta ukrywały przemocą jakieś urocze słówko, które przeznaczone było na powitanie gościa oczekiwanego.

Gościem tym miał być—pan Fabian.

Wdzięczny jego dłużnik wziął na siebie arcytrudną missyę, aby go do miasta z samotnego ustronia sprowadzić i znowu do Luni zbliżyć.

Zanim to jednak nastąpić mogło, pośpieszyła do swojej przyjaciółki Michalina.

— Jakże uroczo wyglądasz w tym białym peniuarze!—zawołała od progu.—Jeżeli każda panna po danym odkoszu tak ma wyglądać, to postaram się jak najprędzej o taki kosmetyk!

Blade usta Luni poruszyły się rozkosznie. Ucałowała przyjaciółkę i kazała jej usiąść przy sobie.

— Mylisz się moja droga—rzekła do niej — jeżeli sądzisz, że danie odkosza przyczynia się do wdzięków naszych. Gdym była zmuszona Fabianowi... panu Fabianowi odmówić, zdaje mi się, że wyglądałam wtedy bardzo brzydko. Nawet mama zwróciła na to uwagę i kazała mi na przechadzce woalkę spuścić. Da się to łatwo wytłómaczyć. Panna dająca odkosza odsłania się w tej chwili przed ludźmi, którzy widzą w niej kokietkę lub, co najmniej, osobę lekkomyślną. Sumienna nie dopuści nigdy mężczyzny do tego kroku.

— Zawsze stara twoja filozofia! Przecież kokietką nie byłaś, a mimo to pan Fabian oświadczył się tobie!

— Musiałam w czemś wykroczyć, jeżeli pan Fabian tak długo pozostawał w złudzeniu...

— Masz chore sumienie! Trzeba się pozbyć tych niepotrzebnych skrupułów!

— To skrupuły, które przemieniają się w pewne przyjemne uczucie...

— Przecież nie zechcesz ich zamienić na miłość dla pana Fabiana?

Lunia zarumieniła się. Michalina spojrzała na nią z zadziwieniem.

— Obawiam się,—zawołała,—że jesteś na złej

drodze, że głupia gadanina świata wpływa na ciebie.

— Czy to byłoby tak źle?

— Czy możesz tak pytać? Są rzeczy, które bardzo pięknie w książce wyglądają ale w życiu są wierutnem głupstwem. Odczytanie ładnego wierszyka poezyi, może na chwilę sprawić przyjemną oscyllacyę serca; ale głupstwem byłoby wierzyć, że ta oscyllacya trwać będzie przez całe życie. Gdybym miała do wyboru między codzienną muzyką Chopin'a a produktem kulinarnym dobrego kucharza, wybrałabym niezawodnie to drugie!

— Dla czegóż rzeczy stawiasz na ostatecznych krańcach?

— Bo widzę, że ty na takim krańcu teraz stoisz!

— Bóg widzi, że za ostatecznością nigdy się nie uganiałam. Nie chcę życia bez żadnej poezyi, ale też i nie sięgałam po poezyę bez żadnej rzeczywistości!

— Najlepszą i najtrwalszą poezyą jest to, co w przyzwoitych dostatkach mieć można. Gdzie się zaczyna abnegacya, tam kończy się poezya!.. Przejażdżka naprzykład do Wilanowa lub Natolina w porze wiosennej jest wycieczką prawdziwie poetyczną—ale do tej poezyi potrzeba ładnego ekwipażu, okazałych koni i jakiej takiej liberyi. Wyobraź sobie, jakby wyglądała taka wycieczka na wózku żydowskim, lub „per

pedes apostolorum," jak to dla chorób żołądkowych praktykują emeryci?...

— Przecież można pragnienie swoje zastosować do środków, jakiemi rozporządzamy!

— Pragnienia kobiety są wszędzie jedne i te same. Panna służąca chce tak samo jechać do ślubu karetą, jak i księżniczka. Pocóż więc dobrowolnie wybierać wózek gospodarski?... Jeżeli się chcesz do nowej sytuacyi zastosować, to musisz pierwej umrzeć taką jaką dziś jesteś, a potem odrodzić się kobietą nową, bez żadnych nawyknień, jakie masz dzisiaj!

— Jeżeli się kogo kocha, można wiele rzeczy dla niego poświęcić!

— Nie wierz temu! Silniejszą od uczucia jest pamięć. Uczucie może osłabnąć i umilknąć z czasem, a pamięć wzmaga się z biegiem lat i stanie w końcu przed nami jak nieubłagany wierzyciel. Wierzyciel ten będzie nam ciągle przypominał czem byłyśmy w zaraniu młodości naszej, do czego nas wychowano i przyzwyczajono, a o czem chciałyśmy w chwili szału lekkomyślnie zapomnieć!...

— Czemuż tak okrutnie obalasz mi mój nowy pałac szczęścia, nad którym z taką boleścią pracowałam!

— Nie jest to pałac, ale poprostu chatka na lodzie!

Lunia westchnęła.

— Rozważ tylko moja droga—mówiła dalej

Michalina—do czego twoje bohaterstwo ciebie prowadzi. Twoje tkliwe serduszko jest zaniepokojone, że ktoś tam cierpi. Czy dałaś mu powód do tego cierpienia?

— Granica winy jest często tak subtelna, że jej dojrzeć nie można!

— Przecież sama mogę zaświadczyć, że żadnej winy z twojej strony nie było.

— Tak mi się zdawało!

— I tak było w istocie. Że pan Fabian sobie coś uroił, któż temu winien?

— Ale on jest tak zacny i sumienny, że bez żadnej przyczyny nie mógłby sobie uroić...

— Czy kochałaś go?

— Przed tem... przed oświadczeniem... nie!

— A po oświadczeniu?...

— Po oświadczeniu... znasz moja droga wszystkie szczegóły tego oświadczenia i możesz sama osądzić, że człowiek tak zacny i poczciwy..

— Wart jest twego serca i... tej białej, delikatnej rączki!

— Słyszę w twych słowach strunę ironii!

— Prędzej boleści. Żal mi tego greckiego noska, tej zgrabnej figurki i tej bajecznie drobnej nóżki! Wszystko to nie jest stworzone do stajni krowiej i błota folwarcznego!... Wierzaj mi, gdyby rodzice okazali cię na szerszej arenie świata, gdyby wywieźli cię choć raz do Ostendy, Ischlu, lub Homburga, ręczę ci, że jaki bogaty markiz, albo przynajmniej baron, byłby suto za to wszystko zapłacił!....

Lunia wzdrygnęła się.

— Jesteś dzisiaj dla mnie okrutna!—zawołała z westchnieniem.

— Wierzaj mi, wszystkie piękne rzeczy przeminą, ale pieniądze nie przeminą!

— Ale trzeba przecież czegoś dla serca!

— Serce... serce, to rozkapryszone dziecko: dasz mu jakiebądź cacko, a uspokoi się!... A im droższe to cacko, tem pewniejszy skutek!

— W tym względzie się z tobą nie zgodzę!

— W tej chwili sama z sobą nie jesteś w zgodzie!

Lunia spojrzała z zadziwieniem na przyjaciółkę.

— Ja sama z sobą w zgodzie nie jestem?—powtórzyła,—a zkąd wiesz o tem?

— Widzę to w twoich oczach. Gadanina ludzka napiera na ciebie, a wewnętrzna twoja istota opiera się temu!

Lunia zamyśliła się. Po chwili rzekła:

— Nie lubię rozbierać moich uczuć i wrażeń, ale... przyznam ci się... w tej chwili czuję rzeczywiście, jakoby we mnie były jakieś dwie istoty!

— A widzisz! widzisz!—zawołała z roziskrzonem okiem Michalina—jakie mam dobre oko!

— Dwie te istoty są z sobą w niezgodzie. Jedna sprawia mi uczucie nader rozkoszne, obiecuje szczęście, spokój i zadowolenie, jeżeli pójdę drogą prawdziwego uczucia... a druga

usiłuje odwieść mnie od tej drogi, stawiając mi przed oczy to wszystko, cokolwiek w życiu widziałam i do czego przyzwyczaiłam się!

— Pierwsza, zalecona nam przez poezyę, dobra jest tylko jako karm dla wyobraźni; druga jest naturalnym produktem naszej ludzkiej natury, i pozostanie z nami aż do śmierci, podczas gdy pierwsza od nas odbiegnie!

— Czyby nie można ich razem zatrzymać...

— Czy idąc za pana Fabiana możesz tego dokazać?

Lunia westchnęła. Przed jej oczyma stanął mały dworek wiejski i kilka par koni roboczych. O karetach i koniach cugowych mowy być nie mogło. Nie było także innych świetniejszych akcessoryów życia. Za to była praca zmudna i prozaiczna...

W gruncie rzeczy nie mogła Lunia mieć takich wygórowanych pretensyj, bo takich pretensyj nie było na czem opierać. Posażek był bardzo skromny, dodany do osobistej pracy mógł wprawdzie przynieść dobre owoce, ale nie mógł w zamian żądać tak kosztownych rzeczy, o których często się marzyło!

Mimo to marzenia domagały się swego prawa, rościły sobie prawo do wszystkich tych świetności, które poza rzeczywistym posagiem były. Żądały tego od drugiej strony, bo przecież mąż musi być kilkakroć bogatszy; ale nie obiecywały prawa wzajemnego, to jest, aby żona była bogatszą od męża!

Takie marzenia są nader uporczywe, osobliwie, gdy się wylęgną w ładnych główkach o jasnych włosach, z pięknym greckim profilem, z dodatkiem drobnych delikatnych rączek i miniaturowych rozmiarów nóżek.

Lunia miała takie same przymioty zewnętrzne; nic więc dziwnego, że obraz przyszłości, jaką jej mógł w tej chwili dostarczyć pan Fabian, nie odpowiadał wcale jej dawniejszym uroszczeniom.

Gdy Michalina westchnienie w jej piersiach spostrzegła, roześmiała się rozkosznie i ucałowała ją serdecznie.

— Popełniasz gwałt na sobie,—rzekła,—widzę to jasno. Pana Fabiana nie kochasz, a idąc za opinią ludzi chcesz wmówić w siebie, że go kochać możesz. Nieprawda?

— Nie powiem tego, żebym była zakochana,— szepnęła Lunia—ale mam dla niego wielki szacunek, a nawet po tem co zaszło...

— Co zaszło?... Zręczny aktor i nic więcej!

— Zręczny aktor?—zawołała z zadziwieniem Lunia—co mówisz! Pan Fabian zręcznym aktorem?... nie! moja droga, to już przechodzi granice żartu!

— Bo wcale żartem nie jest!

— Zlituj się, co mówisz! Pan Fabian byłby zdolny być aktorem?

— Dziwi mnie to, że sama tego nie spostrzegłaś!

Lunia z oburzeniem odwróciła złotą główkę od złośliwej przyjaciółki i zamyśliła się.

Zrazu były te myśli jasne i piękne. Pan Fabian wyglądał przy tych myślach jako człowiek zacny i poczciwy; serce Luni otwierało się dla niego choćby tylko z tego powodu, że on ją tak szlachetnie i tak bezinteresownie kochał!...

Powoli jednak zaczęła jakaś mgła zasępiać te piękne myśli. Przypomniała sobie Lunia, że kiedyś z niemałem usiłowaniem wyszukiwała czarnych plam w postaci pana Fabiana, aby swoje sumienie należycie uspokoić, a niefortunnego konkurenta zostawić z dobrze zasłużonym koszykiem!...

Byłoby to może i dobrze, gdyby tak się stać mogło!... Serce uwolniłoby się od długu... opinia nie miałaby nic do zarzucenia... a wtedy...

I jasny, dawniej rozkosznie wymarzony obraz przyszłości stanął znowu przed nią... ale stanął bez posępnego dworku i bez studzienki ze skrzypiącym żurawiem...

Lunia tutaj ciężko westchnęła.

— Zamyśliłam się nad tem co powiedziałaś— rzekła do przyjaciółki—ale nie chciej mi tego brać za złe. Przyznaję się, że myślałam długo nad tem, aby w charakterze i postępowaniu pana Fabiana coś znaleźć, coby inne światło na niego rzucić mogło i mnie od wszelkiej odpo- wiedzialności uwolniło. Przyznam się jednak, że [illegible] a bo[illegible]mę.

że nic a nic znaleźć nie mogłam, a to co widzę jest piękne i szlachetne, chociaż może trochę niezwykłe!

Michalina podskoczyła z radości do góry.

— Jeżeli tylko nad tem myślałaś—odrzekła żywo—to już jesteś na dobrej drodze... Otóż dopomagam ci i powiadam, że pan Fabian jest tylko zręcznym aktorem i odegrał z tobą wyborną komedyę!

— Komedyę odegrał?—zawołała Lunia i podniosła się z krzesła.

— Przypomnij sobie wszystkie szczegóły jego mniemanego oświadczenia się.

— Znam każde słówko, każdy giest jego!

— Otóż to wszystko razem wzięte tworzy wyborną komedyę!

Lunia zbladła na samą myśl i oparła się o poręcz krzesła. Jej białe czoło sfałdowało się, aby z uwagą słuchać przyjaciółki.

Michalina tymczasem z zimną krwią wydobyła z kieszonki elegancką porte-cigares, a zapaliwszy mały papierosik mówiła do Luni:

— Nie ufaj nigdy ludziom na pozór statecznym i spokojnym. Mogą oni wiele rzeczy zrobić i zręcznie ukryć, czego człowiek żywy a nawet lekki nie potrafi! A takim właśnie wydaje mi się pan Fabian!

— Wyrządzasz mu krzywdę!

— Nie mówię bez dowodów. Przypomnij sobie, że pan Fabian chodził uporczywie do

was, choć mógł był widzieć, że chodzić nie ma po co. Gdy zaś taką wytrwałością dopiął tego, do czego dążył, to jest, że wszyscy uważali go za szczęśliwego konkurenta, wtedy dla uratowania twojej opinii oświadczył się, aby nie wyglądało, że sam ciebie porzucił!

— Było to dowodem, że mnie kochał, nawet nad miłość własną!

— Wszystko dobrze. Pan Fabian mógł cię kochać nad miłość własną, mógł z poświęcenia dla ciebie wyjechać ze stolicy z odkoszem; ale powinien to był uczynić w sposób naturalny, jak się każdy konkurent oświadcza— bez teatralnego efektu!

— Teatralnego efektu?

— Tak jest—a to dowodzi, że grał z tobą komedyę!

Lunia powstała z krzesła.

— Dotąd ciebie nie rozumiem—rzekła z wytężoną uwagą.

— Gdyby pan Fabian rzeczywiście myślał o poświęceniu się, byłby poprostu poszedł do twoich rodziców, oświadczył się krótko i węzłowato, a dostawszy odkosza opuściłby stolicę wracając do swojej studni ze skrzypiącym żurawiem. Ale panu Fabianowi nie chodziło o ciche poświęcenie się. On chciał spalić fajerwerk, któryby wszystkich olśnił, ciebie otumanił, a na galeryi oklask wywołał!... Dla tego nie oświadczył się po prostu, aby z koszykiem

odejść, ale umotywował przed tobą swoje oświadczenie z emfazą zręcznego aktora; powiedział, że mu nie chodzi o twoją rękę (której i tak nie byłby otrzymał), ale o dobrą sławę twoją... że dla tej sławy twojej poświęca wszystko co ma najdroższego, a nawet miłość własną... i błaga tylko (wyłazi szydło z worka), abyś o nim czasem wspomniała sobie, abyś wierzyła, że oprócz niego nikt cię tak szczytnie kochać nie może...

Lunia spuściła oczy i zamyśliła się.

— I jaki cel miał ten fajerwerk z taką ostentacyą spalony przed tobą? Oto, aby cię olśnić i zmusić do wzajemnego afektu, a jeśli to się nie uda, aby w sojuszu z opinią publiczną natrzeć na ciebie i twoje serduszko zgwałcić!.. Czy nie widzisz w tem gry aktorskiej?

— Jesteś niemiłosierną!

— Gdyby pan Fabian szczerze cię kochał, byłby bez żadnych motywów oświadczył się poprostu o twoją rękę, a dostawszy odkosza, byłby cicho odjechał do domu, nie pochwaliwszy się przed nikim z powodów tego oświadczenia. Świat dowiedziałby się tylko o prostem oświadczeniu i zwykłym odkoszu, i wcaleby za to ciebie nie szarpał. A tak przez zręczną komedyę wpadłaś między młot i kowadło, i wcale się temu nie dziwię, że się poddajesz!

Lunia była ciągle zamyślona. Po jej białem czole przemykały dziwne myśli. Michalina o-

tworzyła przed nią nieznaczną furtkę w kulisach życia ludzkiego, której ona dawniej nie widziała. Zajrzała przez tę furtkę po za kulisy, a serce jej doznało nieprzyjemnego wrażenia. Wiele rzeczy przedstawiało się jej teraz inaczej. Niektóre z nich były pierwej tak piękne, a teraz, przez tę tajną furtkę, wyglądały tak brzydko!

Widząc takie zamyślenie Luni, postanowiła Michalina na tem poprzestać. Odrzuciwszy papierosik, usiadła do fortepianu i zanuciła wesołą piosenkę swego ulubionego Offenbacha.

Po odśpiewaniu kilku zwrotek, powstała, ucałowała przyjaciółkę i znikła jak senne widmo.

Lunia długi czas siedziała nieruchoma i zamyślona. W jej sercu odbywała się nowa walka. Jakaś tajemna, mieszkająca w niej istota pochwyciła szybko zatrute słówka Michaliny i zaczęła z nich układać nowy zupełnie obrazek. Pan Fabian, któremu tyle pracy poświęcono aby wyglądał podobny do wymarzonego ideału, bladł powoli i znikał zupełnie. Wszystkie ofiary, jakie dla niego ponieść chciano, wystąpiły znowu na tło tego obrazu, a im więcej bladła postać sumiennego kochanka, tem jaśniej i jaskrawiej przedstawiały się te ofiary.

Wychowanie, przyzwyczajenia i dawne marzenia wystąpiły teraz z całą gwałtownością do walki z koncessyami serca i starały się zmusić je do milczenia. Zrazu opierało się serce, zawezwało łzy do pomocy, roznieciło w gorącej główce kilka pięknych z prawdziwych uczuć utkanych snów przyszłości szczęśliwej,—ale o zwycięztwo było mu bardzo trudno.

Nadzieja tego zwycięztwa upadała z każdą godziną, z każdym dniem, a gdy jeszcze mama dobrodziejka i dwie ciotunie po stronie Michaliny stanęły, przechyliła się szala na stronę tego świata, który serca wcale nie uznaje, tylko w związku z dwoma karyerami regestruje pilnie wszystkie rozrywki i zabawki życia, dostępne dla każdego za zwykłą opłatą biletów.

I stało się, że w kilka dni po przebytej walce tkliwego swego serduszka, siedziała Lunia na koncercie dla moralnie zaniedbanych dzieci, w pierwszym szeregu krzeseł, z twarzą tak wesołą i ożywioną, jakby miała sumienie najspokojniejsze i niczem niezamąconą wiarę w świetną i szczęśliwą przyszłość.

W tym samym dniu, w skromnym pokoiku na Dziekance odbyła się wcale inna scena.

Po pokoju szerokiemi krokami przechadzał się pan Fabian i od czasu do czasu niecierpliwie patrzał na zegarek.

Był ubrany w ten sam paradny tużurek, w którym tak niefortunnie oświadczał się Luni, a nawet te same miał rękawiczki starannie na dwa guziczki zapięte. Na jego twarzy były ślady przebytych cierpień; ale ślady te znikały już

powoli przy nadchodzącej nowej pogodzie myśli. W pięknem błękitnem oku zapalało się zwolna ciche rozkoszne marzenie, a łagodny uśmiech koło ust towarzyszył temu marzeniu, jak białej chmurce na niebie towarzyszy sokół lotny...

Otworzyły się drzwi—do pokoju wszedł przyjaciel-dłużnik.

Pan Fabian niecierpliwie spojrzał na niego.

Przyjaciel-dłużnik nie miał twarzy wesołej. Czoło jego było zmarszczone, usta zaciśnięte.

Z ust pana Fabiana znikł uśmiech łagodny, a zastąpił go wyraz spokojnej powagi.

— Widzę, że nie przynosisz oliwnej gałązki,— rzekł spokojnie do przyjaciela—ale mów otwarcie i szczerze. Widzisz, że jestem spokojny.

Mimo to zadrżały mu usta i nieznacznie oparł się o poręcz krzesła.

— Sam nie wiem co się stało—odparł przyjaciel-dłużnik—przecież wyraźnie powiedziano mi przed kilku dniami, że chcą abyś się zbliżył do nich... a nawet sama Lunia wymówiła do mnie kilka słów tak znaczących, że uważałem za obowiązek przyjaciela....

Pan Fabian podał szeroką dłoń przyjacielowi z pewnym spokojem, ale przyjaciel uczuł wyraźnie, że ta dłoń drżała gorączkowo.

— Dziękuję ci za twoje dobre serce,—rzekł pan Fabian—nie odpowiadasz za to, że to serce omyliło cię!

— Ale serce moje nie omyliło mnie, prędzej ludzie...

— Często na ludzi narzekamy niesłusznie; sami jesteśmy winni. Wierzaj mi!

— Wyraźnie powiedziała mi ciocia panny Ludwiki...

— Życzliwy dla mnie przyjaciel inaczej wytłómaczył sobie jej słowa i wnosił ztąd...

— Nic nie potrzebował wnosić, słowa były jasne... ale musiało coś zajść... nie dałbym za to ani szeląga, że jakiś bogaty konkurent nadpłynął prawdopodobnie...

— Wyrządzasz ludziom krzywdę bez żadnej podstawy. Na niekorzyść bliźnich nic złego przypuszczać nie można.

— Nic nie przypuszczam, ale buduję na tem, co teraz mi powiedzieli!

— Cóż ci powiedzieli?

— Powiedzieli mi... ale nie gniewaj się na mnie,....powiedzieli, że jesteś zręcznym.. aktorem!

— Ja, zręcznym aktorem?—krzyknął jak lew zraniony pan Fabian, i położył na stole pięść zaciśniętą.

— Tak sobie wytłómaczono twoje oświadczenie się o rękę Luni!

—Ja aktorem! ja!—wołał sumienny konkurent z twarzą jak burak czerwoną—ja aktorem! Czy poszaleli, czyś ty oszalał, że takie brednie pleciesz?..

Przyjaciel-dłużnik uczuł na swojem ramieniu żylastą rękę pana Fabiana, z którego oczu strzelały niepokojące gromy.

— Ja, powiadasz, byłem zręcznym aktorem? kłamałem uczucia, jakich nie doznawałem? ja byłem kłamcą i bezwstydnym komedyantem? ja?... wytłómacz mi się z tego, bo inaczej uduszę cię jak muchę, choć się mienisz moim przyjacielem!

Przyjaciel-dłużnik cofnął się o krok od zapowiedzianej groźby, a zabezpieczywszy się całą szerokością stołu od ponowienia tejże, odpowiedział jak mógł najpotulniej:

— Ja przecież temu nie wierzę, tylko powiadam to, co mi mówiono!

— Cóż ci mówiono, mów prędko!

— Mówiono mi, że odegrałeś prostą komedyę, aby wpłynąć na słabe serce kobiety.

— Gdzież jest ta komedya?

— Komedya ta w tem ma leżeć: że zamiast oświadczyć się po prostu i wyjechać z koszykiem, powiedziałeś z emfazą dla czego się oświadczasz; postawiłeś sam siebie na piedestalu bohatera poświęcającego się dla sławy panny; rozgłosiłeś to poświęcenie przed światem, wyczekując żniwa po tej zręcznej siejbie!

Pan Fabian zbladł cały i zadrżał.

— Poświęcenie się, mówiła Lunia, jest cichym czynem bez podania rachunku, co ten czyn kosztuje; ty zaś poświęcałeś się z rachunkiem w ręku, jakbyś z zajezdnego domu wyjeżdżał, chełpiąc się przed ludźmi, że tak drogo zapłaciłeś... Lunia jest tego zdania, że sporządzenie tego rachunku należało jej zostawić...

Nieszczęśliwy konkurent zachwiał się. W jego oczach okazały się łzy.

Przyłożył rękę do twarzy i tak stał czas niejaki. Ruch konwulsyjny wstrząsał mu piersi.

Po chwili odsłonił twarz. Była spokojna, lecz mocno blada. Oczy tylko szkliły się mocno.

Westchnął całą piersią i wyciągnął rękę do przyjaciela.

— Daruj mi,—rzekł przytłumionym głosem—byłem niesprawiedliwym dla ciebie i panny Ludwiki.... Panna Ludwika ma słuszność. Chciałem spełnić czyn szlachetny, ale do tego czynu za mało było szlachetności wemnie. Samolubna natura człowieka nie umiała milczeć tam, gdzie się Bogu spełniała ofiara!

Umilkł i znowu rękę przyłożył do czoła.

— Spełniając czyn szlachetny—mówił po chwili—chciałem się zaraz tym czynem pochwalić i powiedziałem Luni i jej rodzicom, dla czego to robię. Załączyłem do ofiary zaraz rachunek, że ta ofiara kosztowała!..

Jakieś dziwne uczucie w krtani przerwało mu mowę. Odkrząknąwszy mówił dalej:

— Samolubstwo odrodziło się przez samochwalstwo, a to odbiera słusznie memu postępkowi właściwe jego znaczenie...

— Przecież czyn twój szlachetnym pozostanie zawsze.

— Mylisz się przyjacielu. Ja powinienem był poprostu oświadczyć się i z odkoszem odejść. Ale

ja wywiesiłem zaraz chorągiew z napisem: oto poświęcam się! zamiast tych słów w pokorze oczekiwać od Luni!.. To odbiera memu postępowaniu całe znaczenie i bardzo słusznie zniża je do prostej komedyi, do efektu teatralnego!

— Przecież sam siebie w ten sposób sądzić nie możesz!

— Dla czego nie? Jest to sąd słuszny i sprawiedliwy. Chciałem coś szlachetnego zrobić, a tymczasem natura moja nie dojrzała jeszcze do tej szlachetności, i popełniłem tylko czyn samolubny!

— Może to być tylko błąd, ale nie wina!

— I błąd i wina mój drogi. Jeżeli chcemy dla ludzi coś pięknego zrobić, musimy się do tego dobrze przygotować. Nasze egoistyczne namiętności muszą wprzódy ucichnąć aby duch był czysty i spokojny. Gdym się Luni oświadczał, nie byłem ani czysty od wszelkiego egoizmu, ani spokojny i wolny od namiętności. Dla tego to, do szlachetnego czynu mego dodałem przechwałkę, że robię to w zamiarze, aby się poświęcić. Może to słusznie w jej oczach wyglądać na komedyę, a ja zasłużyłem na to, aby mnie poczytano za prostego aktora! Pojmujesz mnie teraz?

— Przecież można całą tę sprawę Luni wytłómaczyć!..

— Życie ludzkie powinno być takie, aby żadnych objaśnień nie potrzebowało!

— I chcesz pod tym zarzutem pozostać?

— Chcę, bo na niego słusznie zasłużyłem. Człowiek nie powinien sobie żadnej kary darować, jeżeli uznał, że na karę zasługuje!

Rzekłszy to, zadzwonił pan Fabian na służącego, któremu kazał sobie jak najprędzej rachunek przynieść.

Przyjaciel-dłużnik pożegnał go tym razem bez bifsztyku z perdutą.

II.

Tak się zakończyła karnawałowa przygoda dwojga ludzi, o której w mieście przez kilka tygodni różnie mówiono. Jedna i druga strona miała swoich adwokatów i oskarżycieli. Zarzucano Luni, że poczciwego człowieka zbiła z toru bitej drogi i zrobiła z niego mizantropa; do pana Fabiana zaś miano żal za to, że zamiast odwrócić się od lekkomyślnej dziewczyny, wziął rzecz na seryo i niepotrzebnie się skompromitował. O poświęceniu się nie było już mowy, bo ludzie zazwyczaj nie długo lubią bohaterów i radzi ściągają ich do swego własnego poziomu. Pan Fabian zatem po kilku tygodniach został zupełnie zwyczajnym człowiekiem, a nawet mniej niżeli zwyczajnym—bo niefortunnym konkurentem!

Tymczasem inne rzeczy świata szły zwykłym przyrodzonym torem. Młode panny wyczekiwały codzień wcielenia ideałów swoich, a ostrożni kawalerowie dopytywali się zręcznie o posagi, jakich im gwałtem potrzeba było.

Otoż z porządku tych rzeczy wypadło, że Lunia była zaszczycona widokiem kilku młodzieńców, którzy ją starannie obejrzeli, na dukato-

wych ważkach zważyli i spokojnie dalej poszli. Nie było to Luni przyjemnie, a nawet trochę z tego powodu zapłakała, ale rzeczy odmienić nie można było.

W lecie zmienił ojciec Luni kilka listów zastawnych, które do jej posażku należały; za te listy wyjechano za granicę i tam na wszystkie strony znajomości zabierano.

Po kilku miesiącach okazał się bilans nieszczególny. Zrobiono w towarzystwie kilka spacerów, trzy wycieczki w góry saskie, mieszkano cały miesiąc w Saskim hotelu w Dreźnie, zwiedzono Wiedeń i Berlin i powrócono do domu bez zdeklarowanego konkurenta, i bez owych listów zastawnych, które odjęto od posagu Luni.

Opowiadano o cudach przyjemności i zabawy, wymieniano alfabetycznie wszystkie nowe zdobyte stosunki i znajomości; ale to wszystko nie popychało dalej ani o włos matrymonialnej sprawy jedynaczki.

— Ten przeklęty pozytywizm!—wołała matka Luni w rozdrażnieniu—cała młodzież przeszła do pozytywistów! Nikt nie chce się zakochać, rozumie się człowiek bogaty; nikt nawet nie chce ocenić należycie greckiego profilu Luni i jej bajecznie drobnych rączek!... (inaczej, że towar nie ma kupca)...

Jakkolwiek podobne utyskiwania skrycie się tylko objawiały, nie przestały one jednak dokuczać.

Michalina także na różach nie spoczywała. Nieubłagany rydwan czasu przeszedł i po niej bez żadnej dyskrecyi i zostawił jej kilka bolesnych śladów.

Pierwszy ślad podobny był do wizerunku pewnego bogatego młodzieńca z Ukrainy, który w ogródku marzeń dziewiczych tyle psoty narobił, że potrzeba go było gwałtem wypędzić. A wyrok ten wykonano natychmiast, gdy się dowiedziano, że bogaty Ukrainiec nie ma żadnych bogactw, a do tego długów co nie miara!

Była to rzecz zwykła, ale przeto nie mniej bolesna.

Po Ukraińcu nastąpiła prawdziwa ostateczność.

Był to obywatel z nad Noteci, człowiek milionowy. Michalina wyekspensowała wiele dowcipu i mączki ryżowej, sprawiła u Włodkowskiej trzy nowe kostiumy, oczerniła należycie trzy przyjaciółki, które z nią rywalizować mogły, a gdy już blizko portu szczęścia swego była, stało się znowuż coś, co rachunek jej cały nielitościwie zmazało!

Niestrudzona bohaterka zwróciła się w inną stronę; sprzedawała nawet losy i pierniki na loteryi fantowej, ale wszystko było bez skutku.

Wreszcie piękne dni lata i jesieni legły w zielonej mogile, a pierzaste strzępki zaczęły latać w powietrzu, jakby już na seryo zimę zapowiadały.

Jakkolwiek zima dla świata rzeczywistego jest twardą i istotnie zimną porą roku, dla ludzi jednak marzących i czegoś od życia pragnących, jest to pora najcieplejsza, najprzyjemniejsza. Wtedy to bowiem snują się po głowie najgorętsze marzenia karnawałowe, gorąca krew burzy się w sercu i sprawia śród walca uczucia najrozkoszniejsze, a nieszczęśliwi konkurenci zeszłoroczni zszywają na prędce rozdarte serca swoje, jak marynarze burzą potargane żagle, aby szukać nowych portów upragnionego szczęścia!..

I dziwne dzieją się wtedy rzeczy. Podczas gdy w naturze wszystko krzepnie i zamiera gdy mroźne wichry ostatnie ciepłe soki z drzew wysysają, gdy nawet ruchliwy potok obleka się w kryształową powłokę, aby pod nią snem zimowym drzemać: serca ludzkie zaczynają się wtedy odradzać, krew rozgrzewa się przy odgłosie muzyki zapustnej, a sny złociste wiją się po złotych główkach jak zielone gałązki lipcowego powoju!... Słowem natura zamiera, a człowiek, jeżeli nie jest zupełnie stary, odradza się i z odrodzonemi siłami szuka nowego szczęścia dla siebie!...

Zdaje się, że i nasi znajomi podlegali tym samym prawom ludzkim. Zima w parze z karnawałem była dla nich nową kartą życia, na której mogło się coś zapisać...

Michalina powitała zimę i karnawał jako

najlepszą porę swoich dwudziestu siedmiu wiosen. Twarz jej bowiem najlepiej wyglądała w wieczornej tualecie. Ciemne brwi i błyszczące oczy z misterną brunatną obwódką, odbijały wtedy należycie od mączki ryżowej z bizmutem. Wiosna i lato nie dawały jej twarzy tak korzystnego oświetlenia. To też najwięcej zawodów przyniosły jej te pory roku, czy to na majówkach w stolicy, czy na wycieczkach spacerowych u wód zagranicznych.

Chociaż zima z dodatkiem karnawału i wielkopostnych rautów była dla niej gościem upragnionym, powitała jednak tego gościa z czołem trochę zmarszczonem, bez zwykłego wesołego dowcipu.

Usposobiły ją do tego różne przygody życia. Kilka świetnych partyj przeszło mimo niej, zawadziwszy zaledwie o jej ramię. Obejrzała się i obaczyła—cudze szczęście.

Oprócz tego, trzeba było przeboleć kilka zawodów. Ten i ów zbliżał się i odchodził... tylko jeden nieproszony wcale towarzysz szedł z nią krokiem odmierzonym, nigdy jej nie opuszczał i nigdy się nie cofał. Był to—czas nielitościwy, niemniej jak ona rachunkowy, i pilnie zapisywał do albumu jej życia minuty, godziny, dni i miesiące, póki się z nich nie zrobił roczek, który jako jednostka wchodził do metryki parafialnej...

Przy takim nieubłaganym towarzyszu można

było czoło zmarszczyć, a w złym humorze można nawet było nazwać go fabrykantem zmarszczków...

Gdy Michalina dwudziestą siódmą wiosnę w albumie swego życia zapisaną ujrzała; gdy spostrzegła, że nieproszony fabrykant zmarszczków i na posagu znaczne szczerby porobił, jakby i tem swojej sztuki próbował: wtedy zamyśliła się na seryo i bez dowcipnego uśmiechu obejrzała się wkoło siebie za jakim towarzyszem życia...

Do tego samego rezultatu, ale innemi drogami, przyszła i Lunia. I ją dotknęły bolesne zawody, chociaż tych zawodów nie oznaczała cyframi, jak to mogła zrobić Michalina.

Na te zawody swoje miała szczególny antydot. Za realne szkody dostarczał indemnizacyi—idealizm. Gdy jaki ponętny epuzer przy niej się nie zatrzymał, wtedy na rozkaz serduszka stawiał się poczciwy pan Fabian, jak żołnierz umieszczony w rezerwie.

Nie był to wprawdzie rzeczywisty pan Fabian, który w tej chwili o mil dwadzieścia siał, orał i zbierał—ale jakiś niewyraźny konterfekt jego, w czarnym tużurku i ciemno zielonych rękawiczkach, tak jak przy ostatniej z nią rozmowie wyglądał.

Poświęcała wtedy kilka chwil temu wspomnieniu, a nawet czasem, gdy był mróz dwudziesto-stopniowy, rozgrzewała się tem wspomnieniem, a przytem było jej tak przyjemnie!...

Czasami wyobrażała sobie pana Fabiana bez zielonych rękawiczek. Osobliwie w dniach gdy gości nie było, widziała sumiennego konkurenta pogrążonego w smutku, leżącego nad brzegiem Bugu i patrzącego na jego fale, które do Warszawy dążyły!...

Wtedy pierś jej biała podnosiła się lekkiem westchnieniem, jej piękne serduszko zadrżało rozkosznem uczuciem... a była to myśl tylko, tylko marzenie, — cóżby dopiero gdyby to wszystko rzeczywistością się stało?...

I tak wybladłe to wspomnienie było zawsze łagodzącym balsamem na rany każdego nowego zawodu. A Michalinie tak już dobrze znany był ten balsam wypróbowany, że gdy Lunia kiedykolwiek o panu Fabianie z nią mówić zaczęła, pytała przyjaciółka:

— Czy cię znowu jaki zawód spotkał, że pana Fabiana wyciągasz ze składu?

Lunia rumieniła się wtedy, bo jej tkliwe sumienie szeptało, że Michalina prawdę powiedziała...

Złośliwe jednak zapytania przyjaciółki miały dla pana Fabiana dobry skutek. Chociaż zawody były różne, ale wspomnienie byłego konkurenta odbywało się z coraz mniejszem dla niego ubliżeniem. Śród mętów dzisiejszych zawodów, wypływał on na wierzch coraz bielszy, czyściejszy a nawet przystojniejszy.

I kto wie coby się stać mogło, gdyby podobny proces pławienia wspomnień ubiegłych w mętach obecności, dłużej potrwał! Pan Fabian mógłby z nich wypłynąć biały jak śnieg a czysty jak rosa majowa... i byłby może niezawodnie wypłynął i znowu skromny pokoik na Dziekance zajął... gdyby temu naturalnemu procesowi nie przeszkodził istny „deus ex machina,” o którym, mimo wszelkich artystycznych względów powieściowych, w żaden sposób zamilczeć nie można.

Pewnego zimowego wieczoru rozeszła się dziwna wieść po różnych kółkach towarzyskich.

Najprzód zdążyła ta wieść do Resursy Kupieckiej. Tańczono tam właśnie trzeciego kontradansa na korzyść „małoletnich zbrodniarzy.”

„Małoletni zbrodniarze” powinni się byli cieszyć okazałością tego balu. Tualety były cudowne, ogony dam podobne do ogonów kometowych, bufet najwyszukańszemi przysmakami zastawiony.

Gdyby kto chciał cyframi tę wzorową dobroczynność zmierzyć, możnaby w przybliżeniu za sto sukien położyć 10,000 rubli, a drugie tyle włożyć na karb męzkiej połowy, licząc w to wagnerki, posiłek, szampana i inne drobne rzeczy.

Z tego ekspensu zawsze kilkaset rubli dostało się od wieloletnich dobroczyńców „małole-

tnim złoczyńcom", reszta z małym wyjątkiem, wyszła prosto zagranicę.

Rachunek więc wyniknął ztąd taki, że gdy instytucya „małoletnich zbrodniarzy" wzbogaciła się o 840 rubli i 40 kop.—majątek kraju zmniejszył się o dziesięć tysięcy!...

— Et! nie wiedziałem, że waść jesteś takim moralistą!—zawołał pan Symplicyusz, i pogroził krzywym palcem panu Modestowi, który właśnie powyższy bilans przy kieliszku Lafitte sporządzał.

— Mój drogi,—odpowiedział pan Modest nalewając drugi kieliszek,—jeżeli z nas który nie będzie moralistą, to któż nim będzie!... Możebyśmy kieliszeczek białego?... Muma czy...

— Wolę „carte blanche"!

— Dobrze!... kawalerze! butelkę... Widzisz mój drogi, nic nas bardziej oszczędności nie uczy, jak zestawienie dat eksportu i importu. Jeżeli te daty razem postawimy, to za pomocą prostej arytmetyki możemy się przekonać, kiedy zostaniemy bankrutami! Właśnie o tem piszę artykuł do gazety...

I tak rozmowa o zbytku szła dalej torem swoim przy kieliszkach szampana, a nowy pracownik na polu ekonomii społecznej, rozwijał z werwą zasady swoje, podczas gdy małżonka jego, należąca do stowarzyszenia pracy kobiecej, kolosalnym ogonem z mory *antique*, posadzkę sali balowej skrzętnie zamiatała.

— Prawdziwie azyatycki mamy pociąg do zbytku,—mówił po trzecim kieliszku pan Modest, nalewając czwarty panu Symplicyuszowi.

— Prawda, prawda!—potakiwał poczciwy Symplicyusz przeżuwając płatek ozora z renifera.

— Nawet rozsądnych ludzi czepia się ta mania!

— Tradycye narodowe!

— Aby nie sięgać daleko, przytoczę ci pierwszy lepszy przykład. Przecież znasz pana Fabiana...

— Pan Fabian... zacny, poczciwy człowiek! Przecież tego nie posądzisz o zbytek!

— Zbytek jest słowo względne. Co dla mnie może być potrzebą, to dla mego służącego jest zbytkiem! Pan Fabian ma mały folwarczek, na którym można wprawdzie mieć codziennie dobry gospodarski obiadek, można nawet parę groszy dla innych przyjemności wydać; ale zająć mieszkanie na pierwszem piętrze hotelu Angielskiego, kazać sobie obiad do pokoju przynosić z dodatkiem butelki starego winka, i do tego w remizie po alei Belwederskiej się przejeżdżać... na to wszystko za mały jest zagon ojczysty!

— Co mówisz!—zawołał pan Symplicyusz i z oburzeniem zawrócił oczy—to już jest prawdziwe szaleństwo! Człowiek taki porządny, zacny, skromny! Pamiętam, w szkole nazywaliśmy go Katonem!

— Tak, tak! Ludzie się zmieniają!

— Nie wiem, co mu nagle do głowy strzeliło!

— Może gra w karty! W takim razie trzeba trochę ostentacyi, aby łapać dudków złotych!

— Jest to wprawdzie przemysł dla majątku krajowego najmniej szkodliwy, pieniądz tylko przechodzi z jednej ręki do drugiej, podczas gdy przy zbytku, za granicę wychodzi!

— Tak... tak... może jeszcze kieliszek...

— Ale i ta rozrywka ma swoją złą stronę. Pieniądz wygrany w karty, bez pracy i potu, nie trzyma się właściciela. Lekceważy się go i wydaje bez rachunku. Dla tego gracze w karty są zazwyczaj utracyusze! Napiszę kiedyś o tem...

Gdy dwaj przyjaciele w ten sposób z sobą rozmawiali, wmieszał się do rozmowy jeden i drugi sąsiad.

— Za pozwoleniem! panowie mówicie o panu Fabianie. Ja nie posądzałbym go ani o lekkomyślność, ani o karty; on poprostu, jeżeli się nie mylę, chce się.... ożenić!

— Ożenić, ożenić się!—zawołali obaj przyjaciele z pewnem zadowoleniem, jakby nagle coś nowego odkryli—ożenić się! To być może; ale... przecież pan Fabian nie byłby zdolny udawać coś podobnego!

— Jeżeli inaczej sobie poradzić nie może!

— To prawda, gdy wleziesz między wrony,

to kracz jak ony! Dzisiaj bez wzajemnej blagi nie kojarzą się małżeństwa!

— Nawet panny wymagają dzisiaj tej blagi ze strony konkurentów, aby w swojem kółku mieć aureolę, że się „świetnie za mąż wychodzi"!

— A to najkosztowniejszy nasz zbytek!

— A zbytek wyłącznie narodowy!

I rozmowa wróciła znowu do zbytku, a pan Modest zanotował sobie na prędce nowy temat do przyszłego artykułu, że blaga konkurentów i panien na wydaniu jest największym zbytkiem w naszem społeczeństwie!...

— Panowie wyrządzacie krzywdę panu Fabianowi,—ozwał się dalszy sąsiad—nie jest on ani graczem, ani konkurentem według dzisiejszej professyi, jest tylko poczciwym kuzynkiem swojej dalekiej krewnej, która dla kuracyi zjechała do stolicy i jego opieki zażądała!

— Krewna... daleka krewna, zapewne bogata, bezdzietna krewna!

— Naturalnie! Przecież dalekich a biednych krewnych nikt nie otacza taką opieką!

— Staruszka jest rzeczywiście bardzo bogata i bezdzietna, a pan Fabian, jak mi wczoraj regent Ambroży do ucha powiedział, jest prawdopodobnie szczęśliwym spadkobiercą...

— Ah! ah!...

Nastąpiło głębokie milczenie.

— Proszę, proszę—ozwał się pan Sympli-

cyusz—ktoby się był spodziewał, że pan Fabian miał tak bogatą krewną!

— Nie wyglądał nigdy na to! Nigdy mi słówkiem o tem nie wspomniał! Szczególny człowiek!

— Już ja wam ręczę, że on szczęścia nigdy nie zrobi! Jeżeli człowiek z takich materyałów jakie posiadał nie umie korzystać, jeżeli będąc konkurentem ani razu nie wspomniał o bogatej ciotuni, która krocie w węzełku dla niego chowała.... to już nie wart dzisiaj, aby się dobrze ożenił!

— I wieleż tam będzie tych kroci?...

— Przeszło pół miliona!

— Pół miliona!

— No... proszę... takiemu człowiekowi, który „na Dziekance" stawał... pół miliona! Czyż on potrafi z szykiem wydać taką sumkę?

— Panowie! Czy to nie należy także do zbytku, aby takiemu nieprodukcyjnemu człowiekowi dawać pół miliona?...

Gdy tak na balu publicznym o panu Fabianie rozmawiano, na pierwszem piętrze narożnego domu przy ulicy Marszałkowskiej, marzyły o nim w skrytości dwa serca.

Była to także zabawa z tańcami. Kilkanaście młodych panien w pięknych tualetach siedziało w ładnie urządzonym salonie, a dwa razy tyle młodzieży patrzało na nie od pieca i przez szkiełka w szyldkretowej oprawie.

Najmłodsi jednak odmówili sobie tej biesiady platonicznej. Wyszli do małego pokoiku, aby tamże uraczyć się papierosami.

— Czy wiesz,—ozwał się Hektor,—że ten zeszłoroczny konkurent panny Ludwiki zjawił się znowu na horyzoncie miasta?

— Ale tym razem w assekuracyi bogatej bezdzietnej ciotki!—dodał Achil.

— Prawdopodobnie będzie szczęśliwszym w swoich zamiarach matrymonialnych!

— Matki, panny powiedzą nawet dzisiaj: *qu'il est très bien!*

— Czy panna Ludwika wie o tem?

— Wątpię, bo wczoraj nie wiedziała nawet, że pan Fabian jest w mieście!

— Wybornie! Pójdę trochę ją podrażnić!

Po tych słowach, wciągnął Hektor z dopalającego się papierosa cały dym do płuc swoich, a wydmuchnąwszy go nozdrzami, z miną bohatera Troi wysunął się do salonu.

W salonie przy rozkosznym oleandrze siedziała Lunia i rozmawiała z towarzyszkami.

Miała suknię bladoróżową, podpinaną białemi różami. Włosy rozpuszczone *à l'imperatrice* odbijały bardzo pięknie od bladej twarzy, na której karnawał stolicy nie namalował jeszcze rozkosznych rumieńców.

Rok ubiegły nie zostawił na tej ładnej twarzy śladów widocznych. Była ona zawsze piękna i młoda, ale w ciemno-szafirowem oku można

było coś dojrzeć, co ten rok ubiegły tam wyraźnie zaznaczyło.

Pogoda i dawna dziecięca wiara w szczęśliwą przyszłość znikła z tego oka. Szafir jego zmącił się trochę, jakby tam przymieszało się jakieś smutne, tęskne wspomnienie...

Zdaje się, że tak było w istocie.

Przed rokiem było w jasnej główce tyle pięknych i uroczych marzeń! Marzenia te były prawie rzeczywistością, bo poetycznej, niczem nie rozczarowanej jeszcze Luni, zdawało się, że potrzebuje tylko białą rączką po te marzenia sięgnąć, aby je ująć i w rzeczywistość zamienić...

Przed rokiem podobną była do ślepo urodzonego dziecka, któremu lekarz nagle wzrok otworzy. Dziecko już widzi, ale nie pojmuje jeszcze przestrzeni i oddalenia, i małą rączką sięga tak samo za pierś matki jak za widmo gór oddalonych...

Dzisiaj, po roku różnych złudzeń i doświadczeń, jakże inaczej wyglądały marzenia Luni!

Katastrofa z panem Fabianem postawiła ją od razu na grunt rzeczywistości. Wprawdzie odwróciła się od tej rzeczywistości, bo wtedy jeszcze za nadto odbijała ta rzeczywistość od snów jej złotej główki; ale dzisiaj, po przebytych różnych zawodach, zniżył się nastrój tych snów i zbliżył się do gruntu rzeczywistości.

Zdobycie świetnych ideałów (w znaczeniu matek i ciotek), za pomocą czarów miłości i tkliwych uczuć serca, okazało się wprost niemożliwem albo przynajmniej bardzo trudnem. U dzisiejszych mężczyzn popłacały wprawdzie czasem wdzięki zewnętrzne kobiety, a takie kobiety mogły nawet często świetny interes zrobić, ale Lunia nie wystawiała wdzięków ciała w loży teatru na widok publiczny, nie obnosiła ich codziennie po ogrodzie saskim, ani razu nie pozowała w żywych obrazach, ani w kościele nigdy nie kwestowała. Według jej wyobrażenia, wdzięczna postać kobiety mogła być tylko dodatkiem do skarbów, które się wewnątrz serca i duszy mieszczą, jako jedyny warunek szczęścia. Kobieta bez tych warunków, była w jej oczach prostym towarem, jaki zazwyczaj kupuje się na Wschodzie do haremu. Różnica jest tylko w sposobie zapłaty.

Przy takich wyobrażeniach, nie trudno było Luni o bolesne zawody. Przyłączyło się do tego nawyknienie przyswojone wychowaniem, że wszystkie jej ideały malowały się zawsze na tle kunsztownem, jakiego mogły tylko dostatki życia dostarczyć.

W sferze jednak takich dostatków nie znalazła chętnych dla siebie ideałów. Zbliżano się wprawdzie kilkakrotnie do niej, ale po zbadaniu jej posagu oddalano się ze wszelką grzecznością i przyjaźnią.

Sprawiało to jej wielką boleść, i mimo woli zniżało miarę uroszczeń. Ideał tracił powoli

niezbędne niegdyś akcessorya większych dostatków i powoli zbliżał się do skromnego folwarku choćby nawet ze skrzypiącym żurawiem. Powoli idealizowała sobie życie folwarczne i uprzyjemniała je środkami skromnemi.

Przy tak umiarkowanych marzeniach, stawał pan Fabian przed nią. Miał wprawdzie tę samą postać pochyloną i te same zielone rękawiczki, ale twarz jego i poczciwe niebieskie oczy miały teraz daleko więcej uroku. Nawet jej serce rozgrzewało się teraz przy tem marzeniu, a biała dziewicza pierś podnosiła się skrycie nieznacznem westchnieniem, że to marzenie nie może być już dzisiaj rzeczywistością!

— Nie może być rzeczywistością?—zapytała siebie w duchu—dla czego? Czyż to ludzie po niejakiej przerwie nie schodzą się znowu? Czyż to ich powtórne zbliżenie się nie jest więcej romantyczne, niż gdyby od razu, bez żadnych prób i przeszkód wzajemną miłość sobie przyrzekli? Czyż pan Fabian, po tem co zrobił, mógł o mnie zapomnieć? Jeżeli to, co Michalina twierdziła, było nieprawdą, jeżeli on rzeczywiście mnie kochał, czy mógł tak od razu ze szczęścia swego zrezygnować?... Nie, to być nie może! Czuję, że panu Fabianowi wyrządziłam krzywdę. Przy pierwszem z nim spotkaniu muszę te krzywdę mu wynagrodzić...

Taki monolog kończyła Lunia zazwyczaj rumieńcem, a przy tym rumieńcu czuła tak wielką przyjemność, że postanowiła na seryo tę mniemaną krzywdę nieszczęśliwemu konkurentowi rzeczywiście wynagrodzić.

Chodziło tylko o sposobność.

Sposobność ta wydarzyła się właśnie teraz.

Pan Fabian przybył do miasta. Z tą nowiną dążył właśnie do niej pan Hektor, młodzieniec z niepospolitym szykiem.

— Lubię bardzo twarze smutne wśród zabawy,—rzekł pan Hektor siadając koło niej na fotelu.

— Czy pan dostrzegłeś ten smutek przez swoje szkiełko?—zapytała z ironicznym uśmiechem Lunia.

— Ręczę pani, że szkiełko dobre, od Pika. Innych wyrobów nie używam!

— Może oko pana jakim smutkiem przyćmione!

— Staram się zawsze być dalekim od wszelkich smutków i wzruszeń!

— Z czegoż więc składa się życie u pana?

— Z trzeźwych myśli.

— Na które składają się: dobry obiad, butelka wina, smaczne cygaro i drzemka.

— Nie są to tak bardzo śmieszne warunki naszego bytu społecznego. Ręczę pani, że po dobrym obiedzie i smacznym cygarze mamy myśl trzeźwą i nie wpadamy w obłęd marzeń o niebieskich migdałach!

— O czem więc myślisz pan po tak smacz-

nym obiedzie? Zapewne o tem, że jutro taki sam będzie obiad smaczny, butelka wina i smaczne cygaro!

Pan Hektor poprawił z powagą kołnierzyki.

— Myślę czasem, — rzekł z uśmiechem, — o obowiązkach ewangelicznych, do jakich należy pocieszanie smutnych!..

— Czy takim obowiązkiem wiedziony usiadłeś pan przy mnie?

— Zdradziły mnie pierwsze moje słowa!

— Więc uroiłeś pan sobie, że jestem smutną i przyszedłeś mnie pocieszyć!

— Postanowiłem to sobie bez żadnego osobistego interesu.

— Niepotrzebnie stawiasz pan dla siebie tę granicę. Zbliżenie się do mego fotelu nie mogłoby w żaden sposób dotknąć osobistego interesu pana!

— Za moje cnoty chrześciańskie odpłacasz mi się pani złośliwością?

— Tych cnót jeszcze wcale nie widzę!

— Mówią, że serca kobiece przeczuwają, a pani nie tylko moich dobrych chęci nie przeczuwa, ale nawet nie przeczuwa pani, że prócz mnie jeszcze ktoś inny zbliżył się, jeżeli nie do fotelu pani, to do atmosfery miasta, którą pani oddychasz!

Lunia spojrzała z pewnym niepokojem na mówiącego. Pan Hektor mówił dalej:

— Już sam niepokój oka dowodzi, że pani mnie zrozumiała!

— Mój niepokój mógłby tylko dowodzić, że pana odgadnąć nie umiem!

— Czy lubisz pani ubiegłe wspomnienia?

— Zależy to od natury tych wspomnień, do jakich bynajmniej nie należy szermierka w słowa kunsztowne i niejasne.

— Mówię o wspomnieniach, które głębiej w serce wnikają, niżeli rozmowa między polką i walcem.

— Nie każdy ma prawo mówić o takich wspomnieniach.

— Czy mogę pani prosić o nabycie tego prawa, w zamiarze wyświadczenia pani wielkiej przyjemności?

— Mów pan bez ogródki!

— Nie mogę jednak obejść się bez wstępu. Przed rokiem doznałaś pani pewnego wzruszenia, którego nie zapomina się tak łatwo, chociażby ono kończyło się.... koszykiem.

Lunia zarumieniła się, a potem lekko przybladła.

— O takich wzruszeniach nikt przed światem nie mówi — odpowiedziała z powagą.

— Ponieważ jednak rzecz sekretna stała się publiczną, nie weźmiesz mi pani za złe, że do niej dzisiejszą rozmowę nawiążę.

W piersiach Luni zadrżało serce. Odgadła, że pan Hektor chce mówić o panu Fabianie.

Cóż mógł jej o nim powiedzieć?.. O! wiele, bardzo wiele! Mógł powiedzieć, że pan Fabian

żeni się z córką swego sąsiada, że się już może ożenił i teraz z młodą żoną za granicę wyjechał; że taki a taki świetny posag wziął za żoną i jest celem zazdrości wszystkich trzech pogranicznych powiatów!

Jakże bolesno byłoby słuchać takich rzeczy, które tak skrycie tajone marzenia w samym środku przerzynają, jak nożyce Parki pasmo żywota...

A może chce pan Hektor co innego powiedzieć! Może chce jej donieść, że pan Fabian jest od roku niepocieszony... że od wiosny nie miał ani razu zielonych rękawiczek... że smutny i samotny leżał przez całe lato na zielonym brzegu Bugu i wiatrem północno-zachodnim pocieszał tęskne swoje westchnienia...

O wszystkiem tem mógł mówić pan Hektor, jakże to można go słuchać obojętnie?

Lunia odetchnęła głęboko.

— Nie wiem co pan możesz do tego wspomnienia nawiązać!—wyszepnęła cicho.

— Przecież to jest materyał tak obfity!

— Nie wiem z jakiego punktu pan patrzysz! Ludziom obojętnym niektóre rzeczy wydają się zwyczajne, podczas gdy dla innych są bardzo drażliwe.

— Drażliwość pani będę umiał uszanować.

— Doprawdy... nie mogę się domyślić...

— Zbyt słabe są wspomnienia, gdy się ich dopiero domyślać trzeba!.. Przecież chwila,

w której oświadcza się konkurent, chociaż nieszczęśliwie... jest zbyt ważną dla panny, aby o niej zapomnieć można. Często jest to chwila wielkiego zwrotu życia, w której dla marnych powodów wypuszczamy z rąk całe szczęście nasze!... Nie jedna kobieta w nieszczęśliwem życiu wraca potem bolesnem wspomnieniem do tej chwili i połyka łzy gorzkie, że nie słyszała, kiedy biła godzina jej szczęścia!...

— Podziwiam dzisiaj pana! Nie wiedziałam, że po dobrym obiedzie, butelce wina i smacznem cygarze przychodzą do głowy tak ładne, moralne i poetyczne myśli!..

— Pani jeszcze nie wierzysz w moje dobre intencye.

— Widać, że takie intencye panu nie do twarzy

— Wnoszę z tych słów, że ubiegłe wspomnienia robią pani pewne wyrzuty, na które chcesz się na mnie gniewać.

— Żadnych wyrzutów nie mam... zrobiłam jak powinnam była zrobić... chociaż wspomnienie tego co zaszło jest dla mnie bardzo przyjemne!

— Więc wracasz pani chętnie do tego wspomnienia?

— Pamięć zacnego i poczciwego człowieka jest nam zawsze pożądaną.

— A przecież ten zacny i poczciwy człowiek cierpiał wtedy tak wiele!

Luni zabłysły łzy w oczach.

— Sytuacya wyrasta czasem nad nasze siły!—szepnęła z cicha.

— Czy wtedy pozbywamy się tej sytuacyi, czy tylko czekamy, dopóki siły nasze nie zmężnieją i do sytuacyi nie dorosną?

— Pan jesteś dzisiaj nielitościwym szydercą!

— Czekaj pani końca naszej rozmowy.. Więc wspomnienie nieszczęśliwego konkurenta sprawia pani niejaką przyjemność...

— Szczerze i otwarcie panu powiadam, że taki człowiek zacny i poczciwy jak pan Fabian, ma prawo do wyjątkowej pamięci!... Nie jest to człowiek obliczony na pierwszy efekt, ale człowiek, który tem więcej zyskuje im dłużej i bliżej mu się przypatrujemy!

Szyderski uśmiech zaigrał na ustach Hektora.

— Zaprawdę! Jakim to dobroczyńcą dla nas czas w sojuszu z przestrzenią i jaką daleką krewną,—rzekł po chwili patrząc w oczy Luni.

Lunia nie zrozumiała złośliwej alluzyi.

— Masz pan słuszność,—odparła żywo—na wielki utwór sztuki, trzeba patrzeć z pewnego oddalenia, aby go należycie ocenić; malowidło tabakierkowe trzeba z blizka tylko widzieć.

— Jeżeli tak, to zazdroszczę panu Fabianowi, że w pewnej odległości czasu i miejsca mógł nabrać tyle uroku.

Lunia zarumieniła się.

— Ostrzegam pana,—rzekła gniewnie,—że panu Fabianowi nie pozwolę ubliżać. Dla siebie nie potrzebuję dopiero domagać się należytej grzeczności!

— Gniew pani niesłusznie mnie trapi. Mogę się tylko cieszyć z tego, że pan Fabian przed rokiem tak nieszczęśliwy, liczy się dzisiaj do szczęśliwych!

— Nie wypieram się tego bynajmniej, że mam dla niego najwyższy szacunek, jaki tylko dla mężczyzny mieć można.

— Od takiego szacunku łatwo przejść można do pewnego uczucia, jakiego mu niegdyś odmówiono!

— Jest pewien stopień szacunku, którego od pewnego uczucia odłączyć nie można.

Lunia wymówiła te słowa w wielkiem rozdrażnieniu, do jakiego doprowadziły ją słowa pana Hektora.

Była chwila, w której żałowała tego co powiedziała. Niepotrzebnie może odsłoniła wnętrze serca swego przed człowiekiem, który mało ją obchodził. Za mało może była ostrożną i dała się zaprowadzić tam, gdzie zajść nie chciała.

Z drugiej jednak strony inaczej się jej rzecz przedstawiała. Postanowiła już dawniej w głębi duszy dać panu Fabianowi zadośćuczynienie, postanowiła wynagrodzić mu krzywdę wyrządzoną... dla czegoż tego przy dzisiejszej sposobności nie mogła uczynić? Jeżeli już w jej sercu odbył się zwrot na korzyść nieszczęśliwego

konkurenta, dla czegoż nie miała przygotować ludzi na objawienie tego zwrotu? A pan Hektor był jakby utworzonym do tego człowiekiem. Miał rozległe stosunki, lubił plotki i kronikę miejską,—dla czego nie korzystać z takiego człowieka?

Gdy to wszystko w swojej złotej główce należycie rozebrała, uśmiechnęła się z zadowoleniem do zdziwionego trochę pana Hektora, który na tak bezwzględną otwartość nigdy nie liczył.

— Czy pana zadziwia to moje wyznanie?—zapytała figlarnie po niejakim czasie.

— Po tem co wiem, wcale mnie nie zadziwia!—odparł pan Hektor z widocznem szyderstwem.

— Więc pan zarówno ze mną cenisz wysoko pana Fabiana?

— Przedewszystkiem cenię go dzisiaj wyżej, niżeli przed rokiem!

— Wytrwałość w powziętem uczuciu znaczy wiele.

— Zdaje mi się jednak, że drogę do swego szczęścia mógł sobie znacznie ukrócić!

— Może to od niego nie zależało.

— Tylko od jego dziwactwa!

— Dziwactwa? Jakież to było dziwactwo?

— Że przed nikim wtedy nie powiedział o swojej bogatej ciotce...

— Bogatej ciotce?—z najwyższem zdziwieniem powtórzyła Lunia.

— Z którą dzisiaj przyjechał do miasta...

— Przyjechał do miasta...

— I zamieszkał w hotelu Angielskim na pierwszem piętrze...

— Na pierwszem piętrze...

— Z którą w remizie przejeżdża się po alei Belwederskiej!

Lunia wstrząsła głową jakby się ze snu obudzić chciała.

— Co pan mówisz! Nic nie rozumiem!

— Nie obawiaj się pani,—z szyderczym uśmiechem mówił dalej pan Hektor—stryjeczno-cioteczna ciotka pana Fabiana jest to staruszka sparaliżowana, która najdłużej dwa tygodnie pożyje jeszcze, a potem zaśnie po chrześciańsku w Bogu, zostawiwszy swemu kuzynkowi pół miliona gotówki...

Lunia pobladła, a potem zarumieniła się.

— Czy pan tak okrutnie żartujesz?—zapytała po chwili.

Pan Hektor był może w prawie zapytać Luni, czy nie gra jak ongi pan Fabian komedyi?

Ale Lunia nie grała wcale komedyi, tak samo jak ongi nie grał jej pan Fabian.

Wiadomość o bogatej, bezdzietnej, umierającej ciotce pana Fabiana, wyjątkowym sposobem raziła ją jak piorunem.

Było to rzeczą dziwną a może nawet nieprawdopodobną przy dzisiejszych wyobrażeniach większej części kobiet, o jakie oskarżają je poe-

ci w rozmaitych wierszach. Z całą jednak sumiennością autora musimy stwierdzić, że tak było w istocie.

Ludwika, po bolesnych zawodach i doświadczeniach, wróciła marzeniem do byłego konkurenta, w którym naturalnem prawem perspektywy i czasu widziała teraz te szlachetne przymioty, jakich dawniej zaćmione jej oko dojrzeć nie mogło.

Powoli uwydatniały się teraz te dobre przymioty pana Fabiania, zwolna przemieniał się były konkurent w umiarkowany ideał szczęścia, i dojrzał wreszcie do tego stopnia, że bez bicia serca nie można było o nim pomyśleć.

Na tym punkcie stała właśnie teraz, i właśnie gotowała się do wyjawienia tego przed ludźmi, gdy pan Hektor rozwiał jej tak starannie dotąd ukrywane marzenia.

Nawrócić się do byłego konkurenta przy niezmienionych warunkach sytuacyi nie tylko nie było zbrodnią ani śmiesznością, ale było nawet dowodem pewnego głębszego uczucia, którego w pierwszej chwili należycie nie można było ocenić. Uczucie to przetrwało próbę czasu i oddalenia i dojrzało w owoc więcej upragniony.

Ludwika pieściła się tym owocem swego serca i z rozkoszą roiła sobie plany, które ją do wymarzonego celu doprowadzić miały, gdy nagle stanęło przed nią widmo koniecznej rezygnacyi.

Pan Fabian oświadczył się jej przed rokiem, a ona z boleścią serca odepchnęła go wtedy, bo jej wzrok nie widział jeszcze w panu Fabianie podobieństwa do ukrytego ideału.

Pan Fabian miał wtedy skromną fortunkę. Fortunka ta mogła wprawdzie do skromnego szczęścia wystarczyć; ale skromne żądania Luni miały wtedy trochę szersze od jednego folwarku granice.

Dzisiaj przez różne zawody ścieśniły się te granice, a pan Fabian zyskał na tem ścieśnieniu bardzo wiele. Ujrzano w nim to, czego dawniej nie widziano, a serce było już gotowe do przyjęcia go na wieczystego lokatora.

Tymczasem nagle zmienił się pan Fabian: ze skromnego człowieka stał się człowiekiem bogatym.

Jakże teraz nawrócić się do niego? Cóżby powiedzieli ludzie, gdyby odepchnięty konkurent przyszedł do niej ze szkatułą bezdzietnej ciotki i jako taki był dzisiaj szczęśliwszym niżeli wtedy, gdy tej szkatuły nie było?

Lunia miała grunt serca szlachetny, nie mogłaby znieść szyderczego uśmiechu świata! Któżby jej wierzył, że nie wiedząc jeszcze o szkatule nawróciła się już sercem do pana Fabiana? Nawet pan Hektor nie wierzy temu, i z ironią dotkliwą patrzy w tej chwili na jej twarz, która nagle zarumieniła się, jakby pod słusznym zarzutem prostej frymarki serca.

Na twarzy Luni po przerażającej bladości nastąpił silny rumieniec, a po tym rumieńcu znowu rozpostarła się bladość.

— Czy pan na seryo mówisz o bogatej, bezdzietnej ciotce pana Fabiana?—zapytała z cicha przytłumionym głosem, aby samej siebie nie słyszyć.

— Zdawało mi się, że pani już wiesz o tej ciotce,—odparł z zabójczą ironią pan Hektor.

— Zkąd pan to wnosiłeś?

— Z każdego słowa, jakie pani wymówiłaś o panu Fabianie.

Oczy Luni roziskrzyły się.

— Nie wiem, co pan temi słowy pokrywasz — rzekła gwałtownie—ale obawiam się, że to jest wielka... niegodziwość.

Rzekłszy to odwróciła się od sąsiada, a po jej twarzy przesuwał się jakiś kurcz bolesny.

Pan Hektor odszedł z tryumfem do świeżego papierosika.

W drugim rogu salonu siedziała ciemna szatynka w sukni blado-zielonej naśladującej kolor wody. Twarz jej mocno ożywiona okazywała dowodnie, że przy tańcach nie próżnowała. Biała jej pierś falowała jeszcze wspomnieniem szalonego walca, ale w oczach ciemnych był wyraz spokojny i dosyć obojętny.

Była to Michalina, która robiła właśnie bilans dzisiejszego wieczoru. Tańczyła prawie wszystkie tańce. Przechodziła w pamięci każdego z tanecznikow koleją, ważyła na subtelnych ważkach wszystkie słówka i półsłówka, które do niej śród tańca wyrzeczono; ale rezultat tego bilansu nie był wcale pomyślny.

Kilku młodzików wprawiało się wprawdzie przy niej do wynurzania afektów i afekcików, ale takich wynurzań nie można było brać na seryo. Tymczasem pan Michał, pan Wacław i pan Karol, kawalerowie dosyć zamożni, trzymali się na uboczu lub rozmawiali z nią z nadzwyczajną wstrzemięźliwością.

Rachunek tego wszystkiego nie był dobry.

Na czole Michaliny pojawiła się chmurka zamyślenia. Było jej wprawdzie bardzo pięknie z tą chmurką, usłyszała nawet z tego powodu kilka pięknych frazesów od pana Achilla, ale chmurka została chmurką.

— Zdaje mi się—ozwała się do niej sąsiadka, pani Wanda—zdaje mi się, że pani znałaś pana Fabiana, który przed rokiem...

— Ach! dostarczył nam materyału do śmiechu na kilka miesięcy!—odpowiedziała z kaprysem Michalina.

— Mówią, że to człowiek poczciwy...

— Któż jego poczciwości co ujmuje! Może sobie być tak poczciwym jak znany z dawniejszych książek naszych Czcigodnicki lub Dobrochęcki; ale to przecie nie wystarcza, aby go uwolnić od haraczu naszego śmiechu! Fenomenalnie śmieszny człowiek!

— W czemże ta śmieszność leży?

— Wyobraź sobie pani człowieka, który na wszystko z taką powagą patrzy, jakby był senatorem Rzymu. Ta powaga nie pozwala mu ułożyć twarzy do uśmiechu, a gdy to czasem nastąpi, jest wtedy tyle śmieszności w jego osobie, że nie można wytrzymać!

— Słowem jest człowiekiem poważnym.

— Drugim przymiotem, który go śmiesznym czyni, jest jego nieograniczona poczciwość!

— Czy to przymiot tak śmieszny?

— I bardzo śmieszny, w zastosowaniu. Niech kto bądź posądzi go o co, a pan Fabian zamyśli się zaraz nad tem posądzeniem, wynajdzie gdzieś winę ze swojej strony i uznaje, że posądzono go sprawiedliwie! Jest nawet w stanie zadać sobie wtedy pokutę za tę winę, jak drugi Donkiszot! Życia, z jego lekką, może ujemną ale konieczną stroną, nie pojmuje, i wszystkim słowom i ludziom wierzy z zasady, że bez dowodów nikogo o fałsz podejrzywać nie można!

— Zakrawa to trochę na dziwactwo w obec dzisiejszej moralności...

— To więcej niż dziwactwo, to śmieszność, jakiej się bezkarnie dopuścić nie można!

— Wnoszę ze słów pani, że takiemu człowiekowi musi się źle powodzić u ludzi!

— To też źle mu się powodzi! Osobliwie trudno mu bardzo o afekta panien.

— Słyszałam, że próbował raz szczęścia...

— Zdaje mi się, że nie raz...

— Słyszałam tylko o pannie Ludwice.

— Lunia dostała go w spuściźnie, po mnie!

— Czy tak?... Więc oświadczał się i pani?

— Oświadczyć... nie oświadczał się, bo do tego nie dopuściłam. Nie był to dla mnie szczególny tryumf, przeciwnie, wstydziłabym się, że podobny człowiek odważył się do mnie zbliżyć...

— Nie byłby on może świetną partyą dla pani, ale jako człowiek nie mógł pani w niczem ubliżyć.

— Ubliżenia są różne: czasami szkodzi towarowi, że zatarguje go kupiec niepokaźny.

— Przynajmniej nie można takiego kupca w tryumfie przed światem okazać!

— Masz pani słuszność. Przyznam się, że nawet gniewało mię to, że taki człowiek śmiał pomyśleć także o mnie!

— U panny Ludwiki nie więcej był szczęśliwy!

— Porwał się nawet przed nią do odegrania komedyi, ale ta mu się nie udała! Słyszałaś pani?

— Słyszałam, ale nie podawano tego za komedyę. A zresztą, jakże to łączy się z jego poczciwością?

— *Les extrèmes se touchent!*

— Słyszałam, że panna Ludwika zmieniła o nim pierwotne swoje zdanie.

— Nie rozumiem pani.

— Zdaje się, że przekonała serce swoje.

— Nie wierz pani temu!

— Byłby nawet teraz skuteczny powód do zmiany swego afektu.

— Niech pani jaśniej się wyrazi.

— Pan Fabian staje się dzisiaj bogatym człowiekiem!

— Bogatym człowiekiem?

— Dopytała się do niego jakaś bogata, bezdzietna krewna z Litwy, sparaliżowana staruszka, z którą mieszka w hotelu Angielskim na pierwszem piętrze... i codziennie obwozi ją w remizie po alei belwederskiej!

— Bezdzietna bogata krewna?...

— Regent Pafnucy mówił o zapisie pół miliona na rzecz szczęśliwego kuzynka.

Michalina nagle spoważniała i długo siedziała zamyślona. Na jej czole malowały się myśli bardzo poważne, a od czasu do czasu przebiegał po ustach zaciśniętych uśmiech cierpki.

Urwała rozmowę z sąsiadką i szybko zbliżyła się do grupy poważnych matron, które się żywo jakąś nowiną zajmowały.

Nowina ta odnosiła się do pana Fabiana. Michalina przekonała się, że słowa sąsiadki były prawdziwe. I tutaj mówiono o prawdopodobnej znacznej sukcessyi pana Fabiana, która w dziwny sposób całą jego postać teraz opromieniła.

Michalina jednak widocznie posmutniała.

Tego samego wieczora, i prawie w tej samej godzinie, kiedy obie przyjaciółki z powodu tak niespodziewanej nowiny w nagłym smutku się pogrążyły, chociaż do tego smutku odmiennemi zaszły drogami, siedział pan Fabian w małym pokoiku Angielskiego hotelu, w towarzystwie nieuniknionego swego przyjaciela-dłużnika i pilnem uchem śledził najmniejszych poruszeń w przyległych komnatach, w których mieszkała sparaliżowana staruszka.

Pan Fabian zmienił się od tego czasu. Miał wprawdzie ten sam co dawniej skromny ubiór na sobie, te same niebieskie poczciwe oczy i te same barki pochylone; ale mimo to, była jakaś zmiana w całej jego postaci. Zdaje się, że więcej wyszlachetniał, że ruchy jego miały teraz więcej zaokrąglenia, a nawet uśmiech jego zmieszany z bolesnem wspomnieniem był dzisiaj nadzwyczaj sympatyczny.

Można było wnosić, że przebył długą i bolesną burzę uczucia, i że ta burza uwydatniła w całej jego postaci to wszystko, co tam było dobrego i szlachetnego.

Prócz tego, na jego poczciwej twarzy jaśniała teraz pewna swoboda, jakiej dawniej nie było. Widać w nim było człowieka, który przestał powoli i lękliwie macać drogę przed sobą, ale stąpał z widoczną pewnością i odwagą.

Przyjaciel jego przypisywał to zmienionej jego sytuacyi. Pan Fabian miał dzisiaj obok

siebie w przyległym pokoju szanowną ciotkę, która chowała dla niego pięć kroć sto tysięcy... Taka niespodzianka może przecież z gruntu zmienić człowieka, dodać mu siły, rozumu i pewności, a nawet koszlawą postać kaleki wyprostować!

Po inne powody nie sięgał zacny dłużnik, i tylko to miał swemu przyjacielowi do zarzucenia, że przy zmienionej sytuacyi swojej traktował go takiemi samemi jak ongi cygarami, do bifsztyku zamiast piwa nie kazał postawić choćby *chateau Lafitte*, a o nowej pożyczce ani słówkiem nie wspomniał!

Zacny dłużnik był jednak wyrozumiały na dzisiaj, a lepszych skutków spodziewał się wtedy, gdy obaj po smutnym obrzędzie z Powązek powrócą.

Materyi tej jednak nie potrącał teraz w rozmowie, bo pan Fabian tego nie lubił.

Było już dobrze po dwunastej, gdy obaj przyjaciele uznali za stosowne po półgodzinnem milczeniu coś do siebie przemówić.

— Czy widziałeś kogo ze znajomych w mieście?—zapytał przyjaciel-dłużnik.

— Z lepszych znajomych prawie nikogo!—odpowiedział pan Fabian i lekko westchnął.

— Nie wiem, kogo do lepszych zaliczasz!

— Chciałem powiedzieć, z bliższych.

— Nie wiem także, kto ci jest bliźnim czyli bliższym. Mając na względzie ową ewangeliczną przypowieść o Samarytaninie... to zdaje mi się, że ci wcale do bliższych nie należą, których ongi za takich miałeś!

Pan Fabian westchnął i podał rękę dłużnikowi.

— Przedewszystkiem,—rzekł do niego,—do bliższych moich znajomych zaliczam tego, który widząc mnie rannego, opatrzył rany moje nalawszy w nie wina i oliwy!

Przyjaciel spojrzał smutno na stół, na którym stała wprawdzie oliwa, ale wina nie było.

— Oliwy i wina, mówiąc przenośnie, nie szczędziłem wcale,—rzekł po chwili namysłu—i spodziewam się, że rany już zgojone!

Pan Fabian smutno potrząsł głową.

— Rany nie zagojone,—odpowiedział z rozrzewnieniem—a co gorsza, że się może nigdy nie zagoją!

Przyjaciel-dłużnik rzucił się niecierpliwie na krześle.

— Czy jeszcze ciągle myślisz o pannie Ludwice?—zapytał z widocznym gniewem.

— Ja nie myślę o niej... ja ją kocham!—odparł nieszczęśliwy konkurent i smutno zwiesił głowę na piersi.

Przyjaciel zapalił świeże cygaro.

— Taka uporczywa wytrwałość jest niegodna mężczyzny!

— Mówiłem to sobie tysiąc razy!

— Jest nawet śmiesznością!

— Wiem o tem!

— Cóż cię więc zmusza do tej śmieszności?

— Sumienność, która tak samo nie powinna odłączać się od uczuć ludzkich, jak nie odłącza się od żadnych innych światowych interesów!

— Więc kochasz ją dla tego, że raz to słowo wyrzekłeś przed nią?

— Jakże chcesz, żeby słowa na wiatr rzucać!

— Przecież do słów nie można uczuć stosować!

— Jeżeli słowo wyrzekło się po należytej rozwadze, słowo to jest zgodne z uczuciem i takiem na zawsze pozostać musi. Jest to wielkiem nieszczęściem naszego wieku, że słowo odłącza się od uczucia. Słowo takie luźne stało się dzisiaj igraszką salonów; to też ludzie, którzy taką igraszką się bawią, odsądzeni są od wszelkiego uczucia!

— Zbyt wysoką miarę przykładasz do ludzi!

— Czytaj Szekspira, jak tam ludzie mówią! Przy uczuciu szorstkiem pada szorstkie słowo, a ci, co to słowo wymówili, nie zapominają o tem nawet w ostatnim akcie! To też u Szekspira są ludzie wierni temu czem są, źli czy dobrzy.

— Jeżeli zaś wyrzekło się słowo, a to słowo padło na grunt niewdzięczny?

— Czy pod tym gruntem niewdzięcznym rozumiesz pannę Ludwikę?

— Nieinaczej!

— To mylisz się zupełnie!

— Przecież słowo twoje nie przyniosło tam żadnego plonu, panna Ludwika nie kocha cię!

— I czyni bardzo słusznie. Aby szlachetna kobieta ukochała kogo, potrzeba aby ten człowiek nie mniej był szlachetny! Ja zaś takiej szlachetności bynajmniej nie dowiodłem. Przy oświadczeniu zdawało mi się, że szlachetnie działam; ale to było złudzenie tylko. Do szlachetnego czynu zamało miałem szlachetności w sobie. Jakże chcesz, żeby takiego człowieka kobieta kochała?... Przyznam się, nie miałbym nawet dobrego wyobrażenia o niej, gdyby się tak łatwo dała złapać!...

Przyjaciel ruszył ramionami.

— Radzę ci, abyś takiej miary do ludzi nie przykładał.

— Zkądże mam prawo mierzyć ich lichą miarą?

— Bo oni sami siebie taką miarą mierzą!

— Wyrządzasz im krzywdę. Jeżeli człowiek nie ma ugruntowanych powodów źle o ludziach sądzić, nie powinien nigdy tego czynić!

— A ja ci powiadam, spróbuj tylko!

— Co mam próbować?

— Idź do panny Ludwiki... powiedz jej zręcznie z kim do miasta przybyłeś i jakie mniej więcej są twoje sperandy... a przekonasz się, że blado-lica Lunia uśmiechnie się rozkosznie do ciebie.

Pan Fabian porwał się z krzesła i żylastą ręką chwycił przyjaciela za ramię.

— Kto ci dał prawo tak oczerniać szlachetną kobietę! — krzyknął gniewnie, aż staruszka w przyległym pokoju się obudziła—kto ci dał takie bezecne prawo? mów!

Przyjaciel-dłużnik posunął się wraz z fotelem dwa kroki wstecz, ale od żylastej ręki pana Fabiana nie mógł się uwolnić.

— Jak możesz tak bezczelnie mówić o ludziach! - wołał rozgniewany gospodarz—jak możesz przypuszczać, że panna Ludwika mogłaby być tak podłą istotą, jaką nawet nie jest niewolnica na targu w Damaszku! Tam prosty kupiec sprzedaje niewolnicę, a ty chcesz, aby u nas sama kobieta się sprzedawała?

Przyjaciel tymczasem uwolnił ramię od żylastej ręki gospodarza i zajął się właśnie wprowadzeniem w obieg krwi na tem miejscu zatamowanej.

— Tam do kata—zawołał po chwili—przecież możesz mówić z większym spokojem, o mało nie zgniotłeś mi ramienia!...

— Przepraszam cię, ale sam jesteś winien sobie. Ludzie są i tak słabi, po cóż ich jeszcze drażnić?

— Jesteś poprostu pacyentem, chwytasz za rękę lekarza, który chce cię ozdrowić!

Pan Fabian smutno spojrzał na przyjaciela.

— Więc ty nazywasz to zdrowiem,—rzekł po chwili,—jeżeli człowiek nieugruntowanem posądzeniem odbiera innym to wszystko, co jest

dobre, piękne i szlachetne? Ty nazywasz to zdrowiem, jeżeli rzucamy kalumnię na bliźniego za to, że ten bliźni nie chciał się do nas twarzą obrócić, bośmy jego twarzy nie byli godni!... nazywasz to zdrowiem, aby kopnąć nogą tych, którzy nam trędowatym swojej ręki nie podali?... Zaprawdę powiadam ci, że lepiej jest rękę swoją od trądu oczyścić, bo wtedy ludzie nie odmówią nam dłoni do uścisku!

Uśmiech ironiczny zaigrał na twarzy przyjaciela.

— Czuję,—ozwał się,—że oczywiście cierpieć musisz, jeżeli to cierpienie wylewasz stylem biblijnym. A ja poprostu tylko radzę, abyśmy jutro do panny Ludwiki obaj z wizytą poszli, a obaczysz jak będziesz przyjęty!

— To swoją drogą zrobić mogę, bo tak nawet nakazuje zwykła grzeczność; ale smutno mi, że ze swoich przywidzeń rozczarujesz się! Wyobrażenia mego o pannie Ludwice zmienić nie mogę, bo nie mam do tego żadnego prawa!

— Panna Ludwika jest kobieta jak inne.

— Jesteś istnym złoczyńcą, gdy tak mówisz. Nie przeczę temu, że znajdzie się jedna i druga wyrodna istota, która sprzedaje się jako towar pospolity; ale ogół kobiet jest o tyle wyższym od nas, że ich opiece powierzyła Opatrzność to wszystko, co w życiu jest pięknem i szlachetnem, a na co my czasem nawet zmysłu nie mamy! A ty chcesz, aby taka kobieta na pierwszą

wieść, że jestem spadkobiercą bogatej ciotki, otworzyła ramiona i do kochającego przycisnęła mnie serca?... Tak niegodnej opinii niespodziewałem się od ciebie.

— Mówiłem tylko z doświadczenia.

— Twoje doświadczenia pochodzą z nizkiego świata. Podnieś głowę i staraj się, abyś był godny majestatu Bożego, a wtedy ujrzysz go! Jest wiele cnót u ludzi, ale trzeba umieć je widzieć!

— Jesteś marzycielem!

— Lepiej marzyć poczciwie, choćby nawet potem te marzenia przeboleć, aniżeli oczerniać ludzi, i z wyższych sfer spychać ich w błoto!

Pan Fabian miał teraz tak piękny wyraz na twarzy, że przyjaciel jego uznał za stosowne nie odbierać mu, jak mniemał, tych złudzeń, jakiemi żywiło się poczciwe jego serce.

Smutno mu było, że pan Fabian nie będzie umiał ze zmienionej sytuacyi swojej skorzystać.

Nazajutrz okazały się skutki wczorajszej nowiny w świetle jeszcze bardziej jaskrawem.

Ludwika całą noc ani oka nie zmrużyła. W jej pokoiku słychać było ciężkie westchnienia i łkania jakby przytłumione.

Wstała rano bardzo blada. Oczy miała podsiniałe, twarz zmęczoną, usta boleśnie zaciśnięte.

Zajęła się jak zwykle przyrządzaniem herbaty, a gdy już wszystko było gotowe, zawołała rodziców do śniadania.

Matka weszła do pokoju z twarzą zamyśloną, a ojciec z wielką uwagą wpatrywał się w twarz córki. Ludwika czuła to spojrzenie i szukała rozmaitych przy herbacie zatrudnień, aby od takich spojrzeń się uwolnić.

Po niejakiej chwili ozwał się ojciec:

— Jakże bawiłaś się wczoraj?

— Dobrze,—odpowiedziała Ludwika z pewnym spokojem,—tańczyłam bardzo wiele!

— Cóż tam tak ciekawego opowiadała ci pani Wanda?—zagadnęła matka i z ukosa spojrzała na męża, który nieznacznie się uśmiechał.

— Różne nowiny miejskie,—odparła krótko Lunia.

— Czy były ciekawe?

— Rozmaicie!

— Czemuż tak krótko nas zbywasz?

— Bo nie widzę potrzeby rozwodzić się nad rzeczami, które mnie nie obchodzą!

Matka i ojciec spojrzeli na siebie znacząco.

Kilka chwil trwało milczenie.

— Przecież między temi nowinkami,—ozwał się ojciec,—były takie, które nas trochę obchodzą.

— Nie wiem, o czem ojciec myśli!

— Myślę... o panu Fabianie.

— Przecież pan Fabian,—dorzuciła matka—nie jest dla nas wszystkich osobą obojętną!

— Czy mama stosuje to i do mnie?

— Nieinaczej!

— Żałuję mocno, że wręcz temu zaprzeczyć mogę.

— Rozdrażnienie twoje dowodzi, że rzecz ma się przeciwnie!—zagadnęła matka.

— Byłoby to nawet bardzo naturalnym wnioskiem—uzupełnił ojciec.

Ludwika spojrzała na rodziców wilgotnemi oczyma, jej usta zadrżały.

— Zdaje mi się,—rzekła,—że najnaturalniejszą rzeczą jest, przeszłość zostawić przeszłością.

— Czy ta przeszłość jest ci tak niemiłą?

— I owszem. Przeszłość ta nie była dla mnie niemiłą, a nawet często wspomnieniem wracałam do niej. Przyznam się nawet, że chciałam rodzicom objawić moje zdanie, tyczące się tej przeszłości; ale wypadki przeszkodziły temu.

— Jakież są te przeszkody?

— Do przeszłości można wracać tylko z czystych pobudek; gdzie są choćby pozory nieczystych, tam mamy drogę powrotu zagrodzoną.

U jedwabnych dziewiczych rzęs zwisły dwie duże, przejrzyste łzy.

Ojciec i matka westchnęli.

— Któż to przewidział!—szepnęła matka.

— O sukcessyi ani słowem nigdy nie wspomniał!—dodał ojciec.

— To znamionuje jego szlachetny charakter!—odparła żywo Ludwika,—nie posądzał mnie, abym na taki powszedni lep złapać się dała!

— Szlachetność szlachetnością, — rzekł ojciec—ale przecież porządni ludzie inaczej swoje interesa prowadzą. Życie potrzebuje pewnych zasobów, o których przemilczeć nie można. Miłość rozsądna umie niebo z ziemią połączyć i nie odgrywa roli istoty bezcielesnej. Po cóż było ukrywać przed nami, że się ma takie zasoby życia? Nasze role mogłyby wtedy wypaść inaczej!

— Zdaje się,—odpowiedziała Ludwika,—że pan Fabian nic przed nami nie ukrywał. Miał mająteczek i opisał go szczegółowo przed nami. Żeśmy te jego zasoby za niedostateczne uznali, to wina nasza a nie jego. O spadkobierstwie mógł wtedy sam nie wiedzieć!

— Przecież można nam było wskazać choćby oddaloną nadzieję!—szepnęła matka.

— Pan Fabian nie chciał ani nas ani siebie łudzić!—odrzekła Ludwika.

— Było to bardzo zacnie i poczciwie z jego strony. Inny postąpiłby inaczej!

— Dla tego tem większy mam szacunek dla niego,

— Możeby z tego samego powodu...—rzekła z uśmiechem matka—z tego samego powodu można ten szacunek posunąć... trochę dalej... do pewnego punktu, gdzie ten szacunek przechodzi...

— Chce matka powiedzieć, że mogłabym się do pana Fabiana nawrócić?—żywo podjęła Ludwika.

— Tego wprost nie mówię... ale sądzę... że gdyby pan Fabian zechciał napowrót...

— Nie, nigdy!—zawołała Ludwika.

— Przecież miał tyle sympatyi dawniej u ciebie?—ozwał się ojciec.

Rzęsiste łzy wytrysnęły z oczu Ludwiki.

— Mogę nawet więcej rodzicom powiedzieć,— rzekła wśród łkania—od niejakiego czasu zdawało mi się, że pana Fabiana będę mogła szczerem sercem ukochać, bo na to rzeczywiście zasłużył jak teraz poznaję... ale to wszystko jest dzisiaj stracone!

— Dla czegoż stracone.

— Bo pan Fabian nie jest dzisiaj tym konkurentem, jakim był wtedy. Dzisiaj jest to konkurent bogaty, partya świetna. Dzisiaj może on tylko z szyderstwa zbliżyć się do mnie... a ja byłabym tylko wielce upokorzona jego widokiem!

— A gdyby on sam zbliżył się do ciebie?

— Nie, on tego nie uczyni, bo tem mógłby mi tylko ubliżyć. Jakież wyobrażenie mógłby mieć o mnie, gdyby ze szkatułą ciotki zbliżał się do mnie po to, czego mu, gdy był bez szkatuły, odmówiłam? Nie, pan Fabian nie zechce mnie tak upokorzyć! Jabym tego nie przeżyła!

— Jesteś ekscentryczna, w taki sposób nigdy za mąż nie pójdziesz!

Hojnie polały się łzy po twarzy Ludwiki.

— Jeżeli za mąż nie pójdę,—rzekła wśród płaczu—nie będzie to tak wielkim grzechem. Ale wolę zostać starą panną, niżeli miałabym dać pozór światu, że konkurentowi ze skromną fortunką dałam odkosza, a gdy tenże sam z workiem spadkobierstwa do mnie powtórnie przyszedł, wtedy poszłam za niego!

Ojciec spojrzał smutno przed siebie, a matka ciężko westchnęła. I miała czego westchnąć, bo szansa wydania córki swietnie za mąż znacznie się dzisiaj zmniejszyła. Zmniejszyła się nie mniej i ilość listów zastawnych, z których miał się posag Ludwiki składać; ale to należało do departamentu ojca, który też teraz z całej piersi ciężko westchnął.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

Do salonu wszedł pan Fabian a za nim pojawił się nieodstępny przyjaciel-dłużnik.

Na przywitanie gości pośpieszył ojciec Ludwiki.

Sytuacya była trudna. Ojciec Ludwiki serdecznie ucieszył się przybyciem dawnego gościa swego, i byłby zaraz na wstępie serdecznie go uściskał, bo w gruncie duszy zawsze lubił poczciwego człowieka, ale względy wyższej strategii nakazywały mu powściągliwość.

Naprzód nie chciał zbyt gorącym uściskiem okazać, że dzisiaj pana Fabiana wyżej ceni, niżeli wtedy, gdy mu kosza dawano. Ubliżałoby to całemu domowi, aby w ten sposób ludzi szacować. Z drugiej strony nakazywała tego pewna ostrożność. Pan Fabian po odebranym odkoszu mógł dzisiaj przyjść w ukrytej myśli, jakie będzie teraz przy zmienionych warunkach jego przyjęcie. Być może, że chciał spróbować, jaką miarą mierzą w tym domu człowieka.

Wypadało więc ojcu Ludwiki być ostrożnym. Postanowił, aby gościa przyjąć grzecznie, ale bez szczególnego afektu, który mógłby się odnosić do spodziewanej sukcessyi.

Przy takiej ostrożności wypadło przyjęcie dosyć sztywnie.

Pan Fabian spostrzegł to i wytłómaczył sobie po swojemu. Spojrzał z ukosa na przyjaciela, który do tej wizyty go namówił, a wejrzenie jego zdawało się mówić: A co? Nie powiedziałem, że tak będzie? Widocznie nie mam tu łaski, bo na nią niczem nie zasłużyłem!

Przyjaciel ruszył ramionami.

— Przyjeżdżając na kilka tygodni a może miesięcy do miasta—rzekł pan Fabian—uważałem za obowiązek złożyć państwu moje uszanowanie...

— Nie mogłeś pan inaczej postąpić—odparł ojciec Ludwiki—nie chcąc okazać się niewdzięcznym za prawdziwy afekt, jaki wszyscy mamy dla pana!

Pan Fabian uśmiechnął się z ironią. Słowa te wziął widocznie za frazes prostej grzeczności.

—Pa Fabian przeczuł to,—zagadnął przyjaciel.— Wczoraj jeszcze miał zamiar służyć państwu, ale mój własny interes był powodem, że tego nie uczynił. Chciałem bowiem także korzystać z tej sposobności...

Ojciec Ludwiki podał mówiącemu rękę.

W tej chwili weszła matka. Miała ona te same skrupuły co ojciec. Z tego powodu przywitanie jej wypadło nie mniej zimne i sztywne jak przywitanie ojca. Pan Fabian spostrzegł to, a twarz jego wyraźnie posmutniała.

Mówiono o rzeczach zwyczajnych. Przyszła rozmowa i na krewną pana Fabiana. Potwierdził mniej więcej to wszystko, o czem już wiedziano (o sukcessyi rozumie się nie mówiono), i dodał do tego obawę, że biedna staruszka zatrważa go nie mało.

Wreszcie zebrał się pan Fabian na odwagę i zapytał o pannę Ludwikę.

— Lunia jest zapewne jeszcze zatrudnioną porządkowaniem swojej tualety po wczorajszych tańcach— odpowiedziała matka sztywnie.

— Więc panna Ludwika bawi się dobrze!— rzekł pan Fabian z pewnym ironicznym akcentem.

— Mamy tego karnawału zabaw aż za wiele!—odpowiedziała matka—pojutrze jedziemy do państwa Władysławów, a w sobotę są tańce u prezesa! Na jeden tydzień to już i tak dosyć.

— W samej rzeczy,—odparł pan Fabian i smutno zamyślił się.

— Ona nawet o mnie nie myśli, jeżeli się tak zapalczywie bawi!—pomyślał sobie w duchu, a wąsy jego opuściły się smutno ku ziemi.

Rozmowa przeszła na inne przedmioty; była jednak zimna i sztywna, bo żadna strona nie mogła lub nie chciała jej ożywić. Pan Fabian czuł młyński kamień na sercu i tylko kiedy niekiedy wydobył z siebie jakieś słowo. Wszystko to co widział utwierdzało go w mniemaniu, że tutaj nikt o nim nie myśli, że złożono go już do składu pamiątek, a Ludwika w wirze karnawałowym ogląda się za innym konkurentem, a może nawet już ma jaki romans.

Takie myśli nie mogły pana Fabiana do weselszej rozmowy nastroić. Smutno, bardzo smutno było mu w salonie, w którym przed rokiem marzył tak słodko! Dzisiaj zdawało mu się, że znajduje się w grobie swoich najdroższych pamiątek życia, a ściany tego grobu były tak zimne, tak smutne!...

Przyjaciel-dłużnik przedłużał jak mógł rozmowę w nadziei, że Ludwika wyjdzie, a nawet kilka razy o nią zapytał; ale rodzice odpowiadali krótko i węzłowato, że jest zatrudnioną.

Wreszcie nadszedł kupiec z towarami kobiecemi. Potrzeba było do tego Ludwiki. Kommunikacyi do przedpokoju nie było innej jak tylko przez salon.

Po długim namyśle wyszła Ludwika.

W pierwszej chwili lekki rumieniec przesunął się po jej twarzy. Wnet jednak ustąpił, a twarz jej przybrała cerę zwyczajną.

Powitała w ten sposób pana Fabiana, że to powitanie odbyło się bez podania ręki.

Pan Fabian zasmucił się jeszcze więcej takiem powitaniem. Zdawało mu się, że tutaj jest celnikiem i usunął się skromnie aż do samych drzwi.

Ludwika rozmawiała długo z kupcem w przedpokoju. Rozmowa w salonie szła jak po grudzie. Pan Fabian i jego przyjaciel patrzali koleją na drzwi do przedpokoju. Oczekiwano każdej chwili Ludwiki.

Po długim czasie, gdy już właśnie zabierano się do odejścia, weszła Ludwika, trzymała w ręku jakieś kwiatki, wstążki i stroiki. Zbliżyła się do matki i koleją okazywała jej nabyty towar.

Pan Fabian był dosyć długo niemym świadkiem rozmowy matki z córką. Nie mogło go to dobrze usposobić. Smutno patrzał przed siebie.

Wreszcie załatwiła Ludwika sprawę z towarem i zwróciła się do gości.

— Czy pan dłuższy czas w mieście zabawi?— rzekła obojętnie do byłego konkurenta.

— Zależeć to będzie od zdrowia mojej ciotki,—odparł pan Fabian i zarumienił się, bo zdawało mu się, że tą odpowiedzią poruszył kwestyę spadkobierstwa.

— Więc karnawał w takim razie będzie smutny dla pana!—mówiła dalej obojętnie Ludwika.

— Zależy od tego, — odrzekł podrażniony pan Fabian—czego od karnawału żądamy. Jedni chcą tańców, a inni czują już pewne zadowolenie, gdy obowiązkom swoim zadość uczynili.

— Przecież karnawał nie jest czasem przeznaczanym wyłącznie dla obowiązków!—zauważyła matka.

— Byłoby to bardzo wygodnie,—odpowiedział pan Fabian,—gdyby obowiązki tylko do pewnego czasu dały się ograniczać!

— Zdaje mi się,—wtrąciła z ironią Ludwika,—że obowiązek pana dla chorej ciotki nie jest tak bardzo uciążliwy!...

Pan Fabian smutno spojrzał na Ludwikę.

— Pani wyrządzasz mi krzywdę—rzekł z boleścią—jeżeli za temi słowy chowasz jaką myśl złośliwą!

— Uchowaj Boże,—podjęła szybko Ludwika,—aby słowa moje kryły jaką złośliwość. Nie mam powodu być dla pana inną, niżeli jestem dla innych. Złośliwość mogłaby oznaczać jakąś źle ukrytą pretensyę, a takiej nie mam do pana!

Pan Fabian jeszcze bardziej posmutniał.

— Mój przyjaciel—wtrącił dłużnik,—chciał tylko powiedzieć, że protestuje przeciw możliwemu zarzutowi egoizmu!

— Dzisiaj najlepiej być egoistą,—odrzekła

z lekkim uśmiechem Ludwika,—a pan Fabian pojmie dobrze moją radę!

Pan Fabian zarumienił się.

— Rady pani,—odparł żywo,—przyjąłbym wszystkie bez zastrzeżenia, oprócz tej jednej, którą pani chcesz mnie poniżyć!

— Przepraszam pana,—rzekła z cierpkim uśmiechem Ludwika—zapomniałam, że pan dzisiaj stoisz na wyższym poziomie, z którego zniżyć się panu nie podobna.

W ten sposób prowadzono jeszcze czas niejaki taką podjazdową rozmowę, która przecież długo trwać nie mogła. Wszyscy byli w położeniu nienormalnem. Niemiły fakt niedawnej przeszłości i zmienione warunki obecności krępowały swobodę. Każdy starał się stosownie do zmienionej sytuacyi zająć stanowisko jak najodpowiedniejsze, a inni tłómaczyli to sobie inaczej, stosownie do swego własnego usposobienia.

Ludwika uważała za swój obowiązek nie okazywać w tej chwili byłemu konkurentowi prawdziwego stanu swego serca, aby sobie nie ubliżyć podejrzeniem, że z widoków na spodziewaną jego sukcessyę zmieniła swój afekt. Prócz tego podejrzywała go o złośliwy tryumf, że przychodzi do niej z aureolą spodziewanych dostatków, aby jej sercu sprawić zasłużone wyrzuty!

Rodzice Ludwiki mieli także podobne skru-

puły. Nie chcieli popełnić niezręczności, że wzbogaconego konkurenta łapią, bo taka niezręczność pomogłaby mu tylko do prędszej ucieczki.

Przy tak sprzecznych nieporozumieniach, nie można było dłużej rozmowy prowadzić.

Pożegnano się dosyć zimno.

Najpoczciwiej i z całą sumiennością wytłómaczył sobie tę zimną wizytę pan Fabian.

Gdy już kilkadziesiąt kroków na ulicy razem uszli, zatrzymał się pan Fabian i rzekł do przyjaciela-dłużnika:

— Czy nie miałem słuszności? Czy nie powiedziałem, że idę tam po to, aby po raz drugi obaczyć te samą obojętność dla mnie, jaką pożegnano mnie przed rokiem?.. Ale to rzecz bardzo naturalna. Szlachetna kobieta może tylko wtedy kochać mężczyznę, jeżeli ten dorównywa jej w szlachetności. A cóż ja szlachetnego uczyniłem, aby być jej godnym?.. Nic nie zrobiłem, a gdy wtedy do czegoś szlachetniejszego się porwałem, popsułem to zaraz swojem samochwalstwem! Gdybym miał więcej szlachetności w sobie, byłoby to inaczej wypadło. A tak nie mam żadnego prawa żądać od Ludwiki miłości, i dziwnie nawet wygląda, jeżeli o tem myślę! Nie prawdaż?

Przyjaciel patrzał smutno na zapamiętałego w poczciwości swojej człowieka.

— Mam zbyt wysokie o sercach kobiecych

wyobrażenie,—rzekł po chwili—niech tylko objawi się światu cyfra spodziewanego spadkobierstwa...

Zdawało się, że pan Fabian powziął w tej chwili jakiś niedobry zamiar względem kołnierza swego przyjaciela, bo tenże nagle o dwa kroki odsunął się od niego.

— Nie zmuszaj mnię do przekroczenia granic przyjaźni,—rzekł pan Fabian po chwili, i oddalił się jeszcze więcej od przyjaciela, aby nie mieć żadnej pokusy,—nie zmuszaj mnie do tego, bo to byłoby więcej bolesnem dla mnie niżeli dla ciebie. Ludwika jest ideałem kobiety... i wziąłbym nawet jej za złe, gdyby takiego niezdarnego i maluczkiego człowieczka, jakim jestem, ukochać chciała!..

— Zkądże weźmiesz materyału do bohaterstwa?—z ironią zapytał przyjaciel.

— Otoż to całe nieszczęście, że go nie mam pod ręką,—odpowiedział smutno pan Fabian.— Gdyby to było w czasach napadów tatarskich albo wojen krzyżowych... ale dzisiaj, gdy bohaterstwem może być tylko mała i niepokaźna praca, która w oczy nie uderza, cóż można zrobić?

Pan Fabian zasmucił się i podał przyjacielowi rękę na pożegnanie. Przyjaciel zasmucił się także, bo liryczny nastrój pana Fabiana pozbawił go spodziewanego spólnego obiadku.

Tymczasem poszedł pan Fabian prostą drogą

nie myśląc wcale o obiedzie. Widok Ludwiki, która w głębi jego serca mieszkała, naprowadził go na myśli wcale różne od tych, które do obiadu prowadzą.

Przypomniał sobie dawne swoje marzenia i rozmowy o tych marzeniach z Michaliną, która mu tyle serdecznej przyjaźni zawsze okazywała!

Powziął myśl odwiedzić teraz Michalinę i podawnemu otworzyć przed nią swoje serce zbolałe.

Michalina była przyjaciółką Ludwiki, nie mógł więc wszystkiego przed nią jasno wypowiedzieć; ale już samo zbliżenie się do osoby, która była powiernicą jego ideału, było dla niego rozkoszą.

Spojrzał na zegarek, i po krótkim namyśle szparkim krokiem poszedł naprzód.

Ciotka Michaliny wstała była dopiero z łóżka, na którem po wczorajszej zabawie odpoczywała. W pokoju jadalnym zastała już Michalinę zupełnie ubraną.

Michalina miała dzisiaj twarz bledszą niżeli zwykle. Piękne usta zacisnęły się a zmarszczki na czole okazywały, że wesoły humorek spadł dzisiaj niżej zera.

— Mówiła mi Nastusia,—rzekła ciotka,—żeś dzisiaj wcale nie spała! Trzeba było trochę zasnąć, bo to szkodzi cerze twarzy.

— Dziwne wyobrażenie masz ciocia o śnie!—

odpowiedziała szorstko Michalina—przecież sen nie zawisł od naszej woli!

— Domyślam się, o czem myślałaś. Jest to rzeczywiście nowina sensacyjna. Skromny przed rokiem człowieczek urósł nagle w bogatego epuzera!

— Przecież nikt mu jego bogactwa nie zazdrości!

— Nie mówię tego... ale przypominam sobie, że ten człowiek przed rokiem....

— Chciał się mnie oświadczyć. Wyraźnie zmierzał do tego, ale zwróciłam jego zapał do Luni!

— Szkoda!.. Gdyby można było przewidzieć!

— Któż mógł przewidzieć!.. Przecież panna Agata przez dwa lata kochała się w panu Marku i nie mogła przeczuć, że matka jego ma pełny garnek starych portugałów... Dała mu w końcu odkosza.., a on dzisiaj po śmierci matki kupił dwie kamienice!

— Pan Fabian sam był niezręczny, przecież mógłby choć jedno słówko o tej bezdzietnej ciotce bąknąć!..

— Zdaje się, że sam nie wiedział... dowiadywałam się wczoraj o różnych szczegółach!

— W takim razie i ty nie mogłaś wnosić...

— Ani do głowy mi nie przyszło! Zresztą pan Fabian nie zdawał się być stworzony na człowieka bogatego! Czy nie prawda?

— To prawda... ale zawsze w takim razie,

jeżeli się nie wie, kto co ma, to trzeba jakoś dyplomatycznie z nim się obchodzić, aby na każdy przypadek być przygotowanym!

— Tutaj przecież nie można było nawet łudzić się. Przecież nieraz mówiliśmy o tem.

— Szkoda, wielka szkoda, że tak się stało!

— Zdaje mi się, że rzecz nie byłaby stracona.

— Czy sądzisz?...

— Mam przekonanie, że gdyby się zbliżył...

— Gdyby tylko Ludwika...

— Nie obawiam się tego. Ludwika jest tak ekscentryczna, że właśnie dla tych zmienionych warunków materyalnych pana Fabiana...

— Czyż mogłaby być takiem dzieckiem?

— Ona jest taką!

Milczenie głębokie nastało w pokoju. Dwa serca rozszerzyły się jakiemś rozkosznem marzeniem i dwa westchnienia wyszły z piersi lekko wezbranych.

Służący zapowiedział pana Fabiana.

Obie kobiety spojrzały z radośnem zadziwieniem na siebie.

— Zostawię cię samą,—szepnęła ciotka, i szybko odeszła do przyległego pokoju.

Michalina spojrzała tymczasem do zwierciadła i naprędce poprawiła włosów. Twarz jej ożywiła się nagle, piękne usta otoczył uśmiech ujmujący.

Do salonu wszedł pan Fabian.

— Witam pana serdecznie,—rzekła do niego Michalina podając mu drobną rączkę—miałam przeczucie, że pan dzisiaj przyjdziesz!

— Byłbym to jeszcze przedwczoraj uczynił, — odpowiedział z powagą pan Fabian, — gdyby wyższe nad zwykłą przyjaźń obowiązki nie stanęły mi w drodze!

— Nad zwykłą przyjaźń?—powtórzyła z kaprysikiem Michalina i cofnęła drobną rączkę—wytłómacz się pan z tych słów niezręcznych!

— Niech to pani bynajmniej nie gniewa,—odparł pan Fabian ułowiwszy uciekającą rączkę i złożywszy na niej poważny pocałunek—niech to pani nie gniewa, że się tak wyraziłem. Przyjaźń pani wysoko cenię, ale pani jesteś zdrową i dobrze wyglądasz. Mam jednak chorą i sparaliżowaną ciotkę, nad którą czuwać muszę!

Michalina uśmiechnęła się na tak poważne tłómaczenie się pana Fabiana.

— Powiadasz pan dla swego uniewinnienia, że jestem zdrową i dobrze wyglądam. Gdybym chciała być dla pana tak szczerą i otwartą jak dawniej, musiałabym coś powiedzieć, coby może pana w zarozumiałość wprowadziło!

— Zarozumiałość nie jest moją wadą, mimo to chciałbym panią widzieć tak szczerą i otwartą jak dawniej!

— Nie... to być nie może! Byłoby to może śmiesznem dla pana...

— Żadna rzecz dobra nie wydała mi się nigdy śmieszną!

— Pytanie, czy to byłaby rzecz dobra...

— Pani budzisz we mnie ciekawość!

— U mężczyzn wszystko kończy się na zaspokojeniu ciekawości!

— Niesłuszną miarą mierzysz mnie pani.

— Jeżeli koniecznie jesteś pan tak natarczywym... to mogę pana zapytać, czy na zmianę naszej twarzy nie może wpłynąć zjawienie się upragnionego gościa?

Pan Fabian pomyślał chwil kilka.

— Masz pani słuszność,—rzekł po chwili,—jeżeli kto komu szczerze i otwarcie sprzyja, to niepodobna, aby to nie odbiło się na jego twarzy!

Michalina skrzywiła twarz z lekkim kaprysikiem.

— Jakże zimnych używasz pan słów do odmalowania tego, co z natury swojej jest gorącem.

— Może jestem niezręcznym kolorystą—odpowiedział szybko pan Fabian,—ale to co wymawiam czuję może goręcej od innych!

Michalina podała mu swoją rączkę za odpowiedź i głębokiem wejrzeniem spojrzała na niego.

— Nie zawiodło mnie moje przeczucie,—rzekła po chwili,—że pan nie zmazałeś w pamięci swojej tego, co nam wspólnie tyle przyjemnych chwil przypominać powinno!

Pan Fabian westchnął głęboko. Był przekonany, że te słowa przyjaciołki Ludwiki odnoszą

się do rozkosznych marzeń jego, zakończonych tak smutnym zawodem.

— Przyznam się pani,—odpowiedział,—że tych wspomnień nie dałbym sobie tak łatwo z duszy wydrzeć. Czemże stałoby się życie nasze, gdyby przed sobą nie miało wspomnień, owych gwiazd jasnych, które nam niegdyś tak rozkosznie na drogę naszej pielgrzymki świeciły! Bez takich wspomnień byłoby życie nasze tylko pracą mechaniczną, rezultatem nakręconej machiny!

Pan Fabian spuścił smutno głowę.

— Pan mówisz o wspomnieniach—rzekła po chwili Michalina—o wspomnieniach gwiazd zagasłych... przecież prawdziwe gwiazdy nigdy nie gasną! Był to zapewne jakiś fałszywy ognik, który pan wziąłeś za gwiazdę...

Pan Fabian smutno uśmiechnął się.

— A tym sposobem—mówiła dalej Michalina—wyrządzasz pan krzywdę owym prawdziwym gwiazdom, które bynajmniej nie zgasły dla pana!...

Twarz pana Fabiana rozpromieniła się. Sięgnął po rączkę Michaliny a całując ją odrzekł:

— Składam pani dzięki za te słowa, na które może nie zasłużyłem. Gdyby tak było w istocie jak pani mówisz, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem.

Michalina ścisnęła silnie dłoń pana Fabiana długi czas wpatrywała się w jego niebieskie oczy.

Zdaje się, że Michalina podejrzywała teraz pana Fabiana, że do kogo innego swoje słowa odnosi. Być może, że pan Fabian mówiąc te słowa miał Ludwikę na myśli. Ale wrodzona miłość własna nie pozwalała Michalinie dłużej pozostać przy tem podejrzeniu. Przelotne spojrzenie do zwierciadła utwierdziło ją w dobrem mniemaniu o sobie. Twarz jej była w tej chwili zachwycająca: lica zarumieniły się, oczy błyszczały jasnym ogniem, usta uśmiechały się rozkosznie...

— Czy pan to mówisz... z jaką myślą uboczną?—zapytała po chwili niepewnym, drżącym głosem.

— Uchowaj Boże!—odparł żywo pan Fabian—nigdy ubocznemi drogami nie chodzę, a to co czuję, wymawiam wprost po nazwisku. Być może tylko, że moje marzenia za głośno wymówiłem, do jakich, mówiąc prawdę, nigdy może prawa nie miałem!

— Co pan nazywasz prawem?—powoli zapytała Michalina, zatapiając w jego oczy głębokie spojrzenie.

— Mężczyzna,—mówił z namysłem pan Fabian — zbliżając się do serca kobiety, musi wprzódy mieć pewne prawo do tego.

— Powiedz mi pan to jaśniej.

— Jeżeli mężczyzna chce, aby kobieta go ukochała, musi być godzien jej miłości!

— Któż wie, jak i kiedy miłość się rodzi?

— Chwila, w której się miłość rodzi, może być niedostrzeżoną, ale niemniej istnieje ona. Jest to chwila, w której przed okiem kobiety otwiera się wewnętrzna istota człowieka, która ją zachwyca. Tylko taka podstawa tworzy prawdziwą, nierozerwaną miłość, wszystko inne jest złudzeniem!

— Przecież i na balu, w tańcu można sprawić pewne wrażenie...

— To też takie mamy dzisiaj małżeństwa. Poznali się przy kotylionie, mówili z sobą trochę na rautach wielkopostnych... on w białym krawacie z szapoklakiem pod pachą, ona w olbrzymiej fryzurze z ogonem kometowym... a po Wielkiejnocy idą do ślubu. Po ślubie mówią po salonach o wielkiej miłości, jaką ku sobie nowożeńcy pałają, a po dwóch latach szepcą sobie do ucha, że się rozchodzą, bo się nie dobrali!...

— Pan jesteś pessymistą, a to panu nie do twarzy!

— Mówię tylko z boleścią o tem, czego mi samemu nie dostaje. Modnie, jak to wyżej opisałem, nie chcę się ożenić, a do serca szlachetnej kobiety nie mam prawa!

— Jakież pan chcesz mieć prawo?

— Prawo, jakie nadaje mężczyznie jego szlachetna, wewnętrzna istota, która jedynie wzbudza prawdziwą miłość u kobiety.

Michalina zacisnęła usta, aby się nie roześmiać z takiego pojmowania serca kobiecego.

— Czegoż pan potrzebujesz do uszlachetnienia tej wewnętrznej istoty swojej?—zapytała po chwili z udaną powagą.

— Czynów szlachetnych i prawych, spełnienia surowych obowiązków i pracy dla ogółu pożytecznej, bez których każdy mężczyzna jest tylko małoznaczącem zerem!

— Jak pan seryo myślisz! Kobiety tego nie lubią!.. Lepiej pan zrobisz, jeżeli mi jutro przyślesz lub sam przyniesiesz piękny, duży bukiet, w którym byłyby kamelie białe i różowe... Rozumiesz pan?

Pan Fabian przypomniał sobie, że Ludwika powiedziała mu raz przed balem, iż lubi kamelie białe i różowe... Twarz jego rozjaśniła się, ucałował z zapałem drobną rączkę Michaliny, a spojrzawszy na zegarek przestraszył się, że tak długo zostawił chorą staruszkę bez opieki.

— Spiesz pan do ciotki,—szepnęła mu Michalina z uśmiechem na drogę—bo wypełnienie takich obowiązków może uszlachetnić wewnętrzną pana istotę, która potem potrafi zniewolić jakie ładne serduszko...

— Dla czego pani mówisz „jakie?"

— To dopowiedz pan sam sobie lepiej!—dodała na progu Michalina i pożegnała gościa namiętnem ścisnieniem ręki.

III.

Nazajutrz stał na stoliku w buduarze Michaliny ładny bukiet, w którym jaśniały kamelie białe i różowe. Michalina okazywała te kamelie gościom swoim i mówiła o panu Fabianie bardzo życzliwie.

Za kilka dni zwiędły kwiaty i trzeba je było z buduaru usunąć. Na ich miejsce stanęły świeże, między któremi królowały znowu białe i różowe kamelie.

I stało się, że bukiet z białych i różowych kamelij był nieśmiertelny w buduarze Michaliny. Co kilka dni przynosił go własnoręcznie pan Fabian i z niewypowiedzianą rozkoszą lokował na stoliku.

Ta punktualna regularność w dostarczaniu w pewnym oznaczonym czasie świeżych bukietów, mogła słusznie w obec trybunału kobiecego rzucić na pana Fabiana podejrzenie, że jest zdeklarowanym konkurentem Michaliny.

Tak przynajmniej te bukiety wytłómaczyła sobie ciotka, potem sama Michalina, a za nią poszły wszystkie jej znajome.

Pan Fabian nie wiedział wcale jaką sobie

stworzył sytuacyę przez ową punktualność w odświeżaniu bukietów. Nie był bowiem biegłym w dzisiejszem piśmie afektów serdecznych. O bukietach miał jeszcze zbyt zacofane wyobrażenie. Lubił kwiaty i wiedział o tem, że kobiety także kwiaty lubią. Wiedział, że kwiatek podany ręką mężczyzny lub kobiety może być tłómaczem pięknego uczucia lub myśli szlachetnej, ale nigdy z tem nie mógł się pogodzić, aby kupiony u ogrodnika gotowy bukiet i kobiecie posłany, wystarczał jej za dostateczny objaw afektu. Nie mógł tego nigdy pojąć, że są ludzie, którzy temu zapłaconemu pośrednikowi całą walkę o zdobycie serca powierzają, a sami cofają się wygodnie na plan dalszy.

Również nie rozumiał tego pan Fabian, że nawet często między narzeczonymi jedynym łącznikiem są takie bukiety. Dla narzeczonych otwartą jest przecież już brama do ich wspólnego świata, czyż mało zajęcia ma dla nich ten świat wspólnych przyszłych ich trudów i rozkoszy? Czyż tam nie można się zejść i wspólnie porozumiewać, zamiast to porozumienie i pamięć wzajemną powierzać wygodnie kupionym u ogrodnika bukietom?

Pan Fabian nigdy temu nie wierzył, że może być para narzeczona, której nic z sobą nie wiąże, jak tylko regularne posyłanie bukietów! Wygodna to zdawkowa moneta serca!.. a zwyczaj światowy tak ją w kurs wprowadził, że

w najbliższej przyszłości otworzą się osobne kantory do załatwiania spraw miłości tak samo, jak się załatwiają sprawy pogrzebu ukochanych osób podług cenników odpowiednich przedsiębiorców.

Pan Fabian stał się nawet raz bardzo śmiesznym w towarzystwie kobiet, że położonych na ołtarzu miłości zasług pana Izydora nie umiał należycie ocenić. Pan Izydor bowiem skracając sobie nudny czas swego narzeczeństwa, wybrał się na cały miesiąc na polowanie i karty do wesołych swoich towarzyszy, ale żeby zwyczajowi zadość uczynić, zastawił lokajowi pieniądze, za które był tenże obowiązany codziennie bukiet kupić i narzeczonej zanieść!

Kobiety śmiały się z pana Fabiana, który tego zrozumieć nie mógł, a unosiły się nad panem Izydorem, który dowiódł tak wielkiego przywiązania dla swojej narzeczonej.

To też przez takie niezrozumienie rzeczy i zwyczaju popadł pan Fabian w nader kłopotliwe nieporozumienie z otaczającym go światem.

Kamelie białe i różowe, które co kilka dni do buduaru Michaliny przynosił, rzuciły na niego bardzo słuszne podejrzenie, że o jej rękę starać się zamyśla. Do tego jeszcze przyczyniła się jego rozmowa nader niejasna i powściągliwa, co już samo przez się ma być cechą starającego się kawalera, jak to nieraz utrzymywała Michalina. Według jej teoryi każdy konkurent

niepewny skutku traci potrzebną w towarzystwie swobodę, i staje się często w rozmowach swoich nie tylko niejasnym co do przedmiotu, ale często nawet i co do logiki...

W rozmowie z panem Fabianem doszła nie raz Michalina do pewnej granicy, o której nie wiedziała, czy jest granicą zdrowego jego rozsądku, czy też wielkiego afektu, który często i najmędrszemu człowiekowi zdrowy rozsądek odejmuje.

A wszystko to było skutkiem prostego nieporozumienia, które pan Fabian przez dziwny swój antagonizm do dzisiejszych torów śmiał sprowadzić.

Pan Fabian bowiem wierzył, że każda przyaźń jest świętą i nienaruszalną. Wiedział, że Michalina jest przyjaciółką Ludwiki, i że taką pozostanie aż do końca życia. Wierzył także, że i jemu sprzyja więcej z przyjaźni dla Ludwiki niżeli z afektu dla niego samego. Na tym więc fundamencie oparł swój afekt dla Michaliny, a sumienie jego nie czyniło mu żadnego wyrzutu, że takim afektem wyrządza krzywdę Ludwice.

Pan Fabian kochał Ludwikę szczerze i sumiennie, mimo jej pozornego oporu. Opór ten wytłómaczył sobie bardzo szlachetnie. Zdawało mu się, że jest niegodzien jej wzajemności, i ubolewał, że jednostajność dzisiejszego życia nie może mu nastręczyć sposobności, któraby podnieść go mogła na wyższy poziom.

Zbliżenie się jego do Ludwiki przekonało go, że nie myli się w mniemaniu o sobie. Nie mając więc żadnej wyraźnej nadziei, która mogłaby go do stanowczego kroku zachęcić, poprzestał na pewnem pośredniem okazywaniu jej swojego niezmiennego afektu.

Pośrednikiem tym nie mógł być nikt inny jak tylko przyjaciółka Ludwiki, Michalina.

Pan Fabian jednak nie chciał użyć Michaliny za prostą pośredniczkę w sprawach serdecznych w zwykłem znaczeniu tego słowa, i nie chciał dawać jej różnych zleceń i missyj jako parlamentarzowi dla porozumienia się z twierdzą oblężoną. Daleko subtelniej i poetyczniej pojmował takie pośrednictwo. Zdawało mu się, że samo zbliżenie się do przyjaciołki i powiernicy ukochanej osoby było już niejako pośredniem zbliżeniem do niej samej. Rozmowa z nią była niejako maskowaną rozmową z Ludwiką, bo wierna przyjaciołka, jak mniemał pan Fabian, nie mogła nic z tej rozmowy dla siebie zatrzymać.

Zresztą, jeżeli mile patrzymy na rzecz ulubioną przez istotę wybraną, dla czegoż niemoglibyśmy zbliżyć się do przyjaciółki tej istoty wybranej?

Gdy pan Fabian naprzeciw Michaliny siedział i w jej twarz patrzał, doznawał bardzo miłego wzruszenia myśląc, że na tę twarz patrzy Ludwika, i że ściska tę samą co i on rączkę!...

Gdy mu Michalina o białych i różowych kameliach powiedziała, pan Fabian był pewny, że to jest aluzya do Ludwiki i oburącz chwycił się tej myśli, bo ona była dla niego tak rozkoszna! Michalina, według jego mniemania, chciała dać mu sposobność przypomnienia się Ludwice, bo przecież Ludwika, która te kamelie co dzień na stoliku swojej przyjaciołki widzieć mogła, nie mogła tego nie zrozumieć, że temi kwiatami jej się przypomina!..

Ztąd też pochodziła ta punktualność w odświeżaniu tych kwiatów, bo to była dzisiaj dla pana Fabiana jedyna sposobność, która pozwalała mu dowieść Ludwice, że o niej nigdy nie zapomniał!

Nie mając żadnych, jak mniemał, bezpośrednich praw do serca Ludwiki, nigdy z Michaliną wyraźnie o niej nie mówił, a nawet wystrzegał się wymówić jej nazwisko. Rozmowa więc mogła się tylko toczyć na polu ogólnem. Rozmawiano o sercu i jego uczuciach, o smutkach i wspomnieniach, o potrzebie wzajemnej miłości i porozumieniu się dusz, wreszcie o nadziei, która jak cień trzyma się nawet najnieszczęśliwszego człowieka.

Pan Fabian naumyślnie unikał jaśniejszej rozmowy, bo skrytych marzeń swoich, dla których miał cześć prawie religijną, nie chciał dotykać zwykłem, towarzyskiem słowem, chociażby to słowo wyjść miało z pięknych ust

przyjaciółki ukochanej osoby. Dla tego uciekał zawsze na pole rzeczy ogólnych, jeżeli Michalina chciała go zmusić do słów wyraźniejszych, ale ucieczka ta była często tak niejasna, że Michalina mogła ją sobie na swoją korzyść wytłómaczyć.

Zresztą nie chodziło Michalinie o pewną jasność obowiązującą. O testamencie staruszki jeszcze nic nie wiedziała, a chociaż regent Pafnucy z największemi szczegółami ciotce zdał sprawę z majątku, którego interesa prowadził, nie można jednak było bezwzględnie tej sprawie zaufać.

Było więc i dla Michaliny wygodnie, że pan Fabian tylko stanowisko swoje należycie zaznaczył, a kroku stanowczego dotąd nie zrobił. Można więc było w danym razie cofnąć się, jeżeli byłoby potrzeba.

Dla czego zaś Michalina przy znanym swoim sprycie taki gruby błąd popełniła, nie trudno odgadnąć. Zakryła jej oczy—miłość własna.

Michalina była piękną, nie była ubogą, miała cały stos wspomnień swoich tryumfów—i tylko kiedy niekiedy sprytniejszy od niej mężczyzna wymknął się z nastawionych sieci! Pan Fabian jednak, według niej, nietylko nie był sprytnym, ale nawet zdradzał oznaki pewnej naiwności, która zazwyczaj taką ofiarę przykuwa łańcuchem nierozerwanym do rydwanu tryumfatorki!...

Michalina nie przeżyłaby tej zniewagi, gdyby jej ktoś zaprzeczył wdzięków i sprytu do podbicia serca takiego człowieka, jakim był pan Fabian. Ona lwy mogła zwyciężać, a cóż dopiero takiego niepokaźnego szaraka?

Ta miłość własna oślepiła Michalinę i rozbudziła w jej sercu marzenie, że pan Fabian jest już jej niewolnikiem, wprawdzie nie bardzo zgrabnym, ale za to niemniej uległym.

Przytem wyrozumowała sobie, że taka sytuacya nie rozrywa bynajmniej stosunków przyjaźni z Ludwiką. Chodziła do niej często, rozmawiała z nią jak dawniej, i bynajmniej się z tem nie taiła, że pan Fabian prawie co drugi dzień (według ulubionego jej wyrażenia) jak febra do niej przychodzi.

Twarz Luni bladła trochę na wspomnienie pana Fabiana, a nawet usteczka jej zaciskały się boleśnie, gdy Michalina o jego wizytach mówiła; ale przyjaciółce nie miała nic do wyrzucenia, bo pana Fabiana sama, dobrowolnie niegdyś się wyrzekła, a dzisiaj niepodobna było wrócić do niego, gdy się stał konkurentem bogatym.

Czasem przypominała sobie, że to Michalina właściwie namówiła ją do odrzucenia oferty byłego konkurenta, ale dzisiaj nie chciała o tem z nią mówić, bo to mogłoby oznaczać, że żałuje go teraz, gdy się stał bogatym.

Pewna nawet cierpkość domieszała się teraz u niej do wspomnień o byłym konkurencie.

Pan Fabian mógł teraz nawet zwrócić się do Michaliny, bo Michalina była bogatszą od niej...

Lunia kładła przy tej myśli prawą rękę na sercu i przyciskała ją silnie do piersi, bo tam w tem sercu coś ją mocno bolało w tej chwili...

A przez mgłę boleści widziała uchodzącą postać byłego konkurenta w zarysach tak pięknych i powabnych, w jakich widzimy to wszystko, co od nas odchodzi!...

Tymczasem ponad ciasną sferą egoistycznych marzeń Michaliny i ponad przepaścią bezdenną cichych smutków i boleści Ludwiki roztaczała szeroko obojętne koła swoje opinia publiczna.

Te koła tak samo przechodziły po biednych ofiarach jak i po zagonach kwiatami marzeń zasłanych... a ludzie pilnie regestrowali to wszystko, co przed sobą widzieli!

A przed sobą między innemi mieli blizkie, prawdopodobne małżeństwo pana Fabiana z Michaliną.

Michalinie składano już nawet zewsząd przychylne życzenia, które tem świetniej się przedstawiały, im więcej pogorszał się stan sparaliżowanej staruszki...

Michalina nie odpierała tych życzeń w sposób urzędowy, opinia więc kroczyła systematycznie dalej i tak samo łączyła ją już w kościele PP. Wizytek z panem Fabianem, jak niegdyś tegoż samego szczęśliwego człowieka

widziała na stopniach ołtarza u OO. Franciszkanów.

I pan Fabian nie mógł w obec takiej opinii pozostać głuchym. I do jego uszu doszło coś, i jemu winszowano tak ładnej i sprytnej żony, jaką będzie Michalina...

Pan Fabian słuchał tego wszystkiego cierpliwie i milczał!

Cieszyło go to niezmiernie, że tym razem, jak Adam za drzewo figowe, skrył się przed opinią publiczną i przed nią utajone marzenia swoje bardzo zręcznie zasłonił!...

Uśmiechał się z rozkoszy, że tak mu się dobrze udało, i wierzył, że tak samo i Michalina się uśmiecha, gdy widzi zbłąkaną ciekawość ludzką! Raz nawet, chociaż nie bardzo jasno, wspomniał o tem jako człowiek sumienny Michalinie, ale Michalina roześmiała się rzeczywiście i rzekła:

— Nie zważaj pan na to!

— Nic tak boleśnie skrytych marzeń nie dotyka jak ta ciekawość ludzka!—myślał sobie w duchu pan Fabian i śmiał się szczerze, że tę ciekawość, która mu ongi tak dokuczyła, tym razem w pole wywiódł!...

Gdy tak pan Fabian pośrednio swego szczęścia używał i przed przyjaciółką Luni ze swoich szlachetnych wzruszeń się spowiadał, w mniemaniu, że przed samą Lunią wewnętrzną swoją

istotę tym sposobem odsłania, rozchodziły się pomiędzy znajomymi coraz pewniejsze wieści o mniemanem jego spadkobierstwie.

Pan regent Pafnucy powołany kilka razy w tej kwestyi do staruszki, słyszał z własnych jej ust, że ma wolę nieprzymuszoną zapisać wszystko dla ukochanego pana Fabiana.

Regent Pafnucy nie robił z tego tajemnicy, a że stan mienia staruszki znał doskonale, więc mógł w tym względzie ciekawość wszystkich ludzi zaspokoić.

Była zatem słuszna podstawa do mniemania, że pan Fabian w każdym razie jest świetną partyą, a Michalinie jaśniały oczy z radości gdy o tem z ciotką mówiła.

— Ale co na to Lunia powie?—rzekła raz ciotka z uśmiechem.

— Przecież dla pięknych oczu Luni nie będę mego własnego szczęścia poświęcała,—odpowiedziała Michalina—i tak mam pierwsze prawo do niego, bo pierwej do mnie się zwrócił!

Lekkie westchnienie, które teraz pierś jej białą podniosło, mogło oznaczać pewną niecierpliwość, z jaką wyglądała końca ostatecznego rozwiązania tej sprawy.

Zdawało się, że Opatrzność uwzględniła tę niecierpliwość piersi dziewiczej, bo jeszcze tego samego wieczora zapadła mocniej biedna staruszka i kazała zawołać regenta Pafnucego wraz z uproszonymi świadkami.

Zapalono świece i spuszczono story u okien.

Do komnaty weszli świadkowie z regentem.

Zastali tam pana Fabiana, który chustką oczy ocierał...

Staruszka kazała starannie drzwi zamknąć...

Przez dwie godziny trwało spisanie ostatniej woli bezdzietnej staruszki...

Przez grube drzwi dolatywały na korytarz pojedyncze, niezrozumiałe słowa...

Pan Fabian mówił najwięcej... jemu odpowiadał żywo regent Pafnucy... mówili i świadkowie, tylko głosu staruszki nie można było dosłyszyć...

Po dwóch godzinach otworzono drzwi i zażądano księdza.

Staruszka była spokojna a twarz miała nawet rozjaśnioną. Trzymała rękę na głowie klęczącego przy łóżku Fabiana...

Pan Fabian miał twarz zarumienioną i oczy czerwone. Łzy lały się potokiem po jego licach, ale mimo boleści i smutku było tam widać tak piękny wyraz jakiegoś głębokiego ukojenia, jakiego tylko może doznać człowiek po spełnieniu szlachetnego czynu.

Pan Fabian był z tym wyrazem tak piękny, tak cudownie błyszczało jego oko, i tak uroczą była cała jego postać, jakiej nawet trudno znaleźć w najpyszniejszym salonie, z szapoklakiem pod pachą i w białej chustce pod szyją!..

Regent opieczętował testament, i według życzenia testatorki prosił świadków o milczenie do pewnego czasu.

Kapłan przyszedł z wiatykiem... staruszka z całą przytomnością wyspowiadała się z grzechów swoich, a położywszy jeszcze raz rękę na głowę pana Fabiana, zasnęła na wieki.

Michalina przez dwa dni była zamyślona. Nie była w tych dniach ani w teatrze, ani na żadnych tańcach. Ubierała się czarno, aby tym sposobem dać panu Fabianowi naoczny dowód, że razem z nim podziela smutek głęboki. Nawet w buduarze swym wiele zmieniła. Aby pana Fabiana, gdy przyjdzie, nie raziły kolory jaskrawe, kazała przemienić portyerę i firanki, by i w tych drobnych rzeczach mógł widzieć jej serce współczujące, jej duszę tkliwą. Nawet obrazy wesołej treści znikły ze ścian a zastąpiły je inne poważne.

Tak upłynęło dni kilka, w których przygotowywała się Michalina do przyjęcia pana Fabiana odpowiednim nastrojem tak wewnętrznym jak i zewnętrznym.

Psuła jej czasem ten poważny nastrój ciotka, która co kilka godzin znosiła z miasta wieści o wysokości pozostałego po nieboszczce majątku. Majątek ten sięgał cyfr bardzo poważnych, a prawie wszystkie panny na wydaniu zazdrościły Michalinie tak świetnej partyi...

O bladookiej Luni niewdzięczni ludzie już prawie zapomnieli!

I stało się wreszcie, że dnia czwartego w buduarze Michaliny zjawił się pan Fabian.

Michalina chodziła właśnie szerokiemi krokami po pokoju. Miała czarną suknię z francuzkiego kaszmiru z długim ogonem. Biały tylko, angielskiego kroju kołnierzyk świadczył, że to nie była gruba, urzędowa żałoba, do której jeszcze nie miała prawa.

Pan Fabian był także czarno ubrany. Na jego twarzy widać było boleść przebytą, ale po za tą boleścią był wyraz tak promieniejący, tak wysoki i szlachetny okazywał nastrój duszy, z jakim tylko może zdążać człowiek do blizkiego już a tak upragnionego portu szczęścia.

Michalina widziała w tych oznakach tak jasnych i swoje blizkie szczęście...

W ręku trzymał pan Fabian bukiet, ale tylko z samych białych kamelij.

— Łatwo pani pojmiesz—rzekł od progu—dla czego dzisiaj tylko białe kamelie przynoszę, bo kolor różowy byłby niestosowny dla mego smutku!

Michalina ścisnęła go serdecznie za rękę.

— Czerwony kolor raziłby i mnie dzisiaj—odpowiedziała dźwięcznym głosem—i jak pan widzisz, oddaliłam go wszędzie z mego widoku!

Pan Fabian spojrzał z zadowoleniem do koła.

— Nie wiem zaiste,—rzekł po chwili,—czem o bie zarobiłem u pani na tyle przyjaźni i dobroci..

— Jesteś pan człowiekiem zacnym i poczciwym, a to mi wystarcza... prócz tego...

— Prócz tego nic we mnie więcej niema, wierzaj mi pani! Jestem zupełnie pospolitym i zwyczajnym i to może... jest całe moje nieszczęście!

— Jeżeli kto umiał sobie zjednać czyje serce... to już nie może powiedzieć, że jest nieszczęśliwym!

Pan Fabian odetchnął całą piersią.

— Gdyby tak było w istocie!—rzekł po chwili, i smutno głowę zwiesił.

Michalina przysunęła do niego fotel. Pan Fabian wyglądał dzisiaj tak niezwykle! Tyle szlachetności było w jego twarzy, tyle pięknego wyrazu w całej jego postaci, że Michalina uczuła pewne rozdrażnienie serca, jakiego dotąd nawet nie znała.

Położyła dłoń na jego ręce... uczuła, że jej ręka zadrżała.

— Nie mów tak panie Fabianie—szepnęła z cicha, — bo komuś wielką, bardzo wielką krzywdę wyrządzasz!.. Czy pan nic nie czujesz?

I drobna rączka zadrżała znowu w szerokiej dłoni pana Fabiana.

— Pytasz mnie pani, czy ja co czuję?—odpowiedział żywo pan Fabian, odsuwając instynktowo drobną rączkę na bok—pytasz mnie pani, czy ja co czuję? Czyż koniecznie mam przed panią wypowiedzieć to, co w mej duszy usta-

wicznie wre i kipi, a czego nawet sam przed sobą nigdy głośno nie wymówiłem? Cóżby się stało z moich słów wypowiedzianych? Możeby komu wydały się śmieszne, wydały się komedyą.

— Rzuć pan zasłonę na to, co było!

— Na wszystko mogę zarzucić zasłonę, mogę nawet wiele przebaczyć ludziom, bo ludzie nie są aniołami i mogą się mylić, ale... ale nie mógłbym zapomnieć o tem, co dzisiaj jest jeszcze jedynem, chociaż oddalonem marzeniem mojem!..

Michalina przysunęła jeszcze bliżej swój fotel do fotelu pana Fabiana.

— Czegoż marzenia swoje oddalasz pan tak daleko od siebie?—szepnęła drżącym głosem, bo jej głos zadrżał teraz rzeczywiście.

— Czyż to odemnie zależy?—odpowiedział jakby we śnie pan Fabian.

— Mówię panu... że to tylko od pana zależy!—szepnęła Michalina i lekko zarumieniona spuściła oczy.

Pan Fabian roziskrzonem okiem spojrzał przed siebie.

— Odemnie zależy?—powtórzył z rozrzewnieniem—gdyby to tylko odemnie zależało!

— Czyż panu niedosyć tego co pan słyszysz, i co pan widzisz?..

— Słyszę słowa czarujące. . a widzę... widzę przed sobą obraz takiego szczęścia, jakiego mogliby mi zazdrościć aniołowie w niebie!

— I pan swemu szczęściu w tej chwili jeszcze nie wierzysz?

— Niech mnie pani nie wiedzie na pokuszenie, bo wiara w zbyteczną łaskę Boga jest grzechem.

— Jesteś pan strasznie nieśmiały!

— Pokaż mi pani brzeg nadziei, a przepłynę Bosfor!

— Nadzieja przecież jest bliższa od brzegów Bosforu!

Michalina położyła znowu swoją rączkę na ręce pana Fabiana.

— To fata morgana, które mi pani okazujesz!—westchnął pan Fabian z całych piersi.

— Bynajmniej nie fata morgana,—odparła Michalina z lekkim naciskiem ręki—to rzeczywistość panie Fabianie!... Pan jesteś kochany... mocno kochany!

Zarumieniła się twarz pana Fabiana i przybrała kolor bronzu. Uścisnął silnie małą rączkę.

— Pani powiadasz, że jestem kochany?—zawołał głosem jak metal dźwięcznym.

— Tak...—cicho wyrzekła Michalina z twarzą lekko zarumienioną—pan jesteś rzeczywiście kochany!

— Czy pani nie igrasz tylko słowami?

— Patrz pan na mnie!

Michalina miała teraz twarz zmienioną. Znikła z niej pusta wesołość, nawet dowcipny uśmiech gdzieś się schował... rzewne, tkliwe uczucie rozlane było w jej całej postaci.

Czuła w sercu dziwne rozdrażnienie. . zdawało się jej, że rzeczywiście w tej chwili kocha!

Pan Fabian z uwagą spojrzał na nią.

— Widzę,—mówił po chwili,—że pani nie chcesz mnie łudzić. Obawiam się jednak, że pani sama siebie łudzisz!

— To co wyrzekłam, wyrzekłam po należytem zastanowieniu się. Nic niema boleśniejszego jak siebie a potem drugiego oszukać!

Pan Fabian zamyślił się głęboko.

— Pani powiadasz, że jestem kochany—rzekł po chwili—a mnie tak trudno uwierzyć we własne szczęście!

— Wielu... bardzo wielu zazdrości panu!—szepnęła zarumieniona Michalina.

— Gdybym mógł mieć jaki taki dowód tego, co pani mówisz, oszalałbym z radości.

— Od pana zależy żądać dowodu!

Pierś Michaliny podniosła się głębokiem westchnieniem.

Pan Fabian potarł ręką po czole jak człowiek, który ze snu chce się koniecznie obudzić.

Po chwili wyprostował się, wziął Michalinę za rękę i rzekł drżącym głosem:

— Dajesz mi pani jasny dowód, że sprawą mego serca jesteś do głębi duszy wzruszona. W tem uczuciu widzę nawet więcej niżeli zwykłą przyjaźń...

Ręka Michaliny zadrżała.

— Widzę ciemną chmurkę na niebie moich

marzeń—mówił dalej z powagą pan Fabian,—która jednak może się rozpłynąć...

— Jaka chmurka?—ciekawie zapytała Michalina podnosząc oczy.

— Oby w drodze do mego szczęścia nie stanęło jakie nieporozumienie!

— Jakie nieporozumienie?

— W sprawach serca musi przedewszystkiem być sytuacya jasna.

— Nie przeczę, że takiej potrzeba koniecznie.

Michalina zaczęła się bawić wstążką.

— Sumienie moje,—mówił dalej pan Fabian,—każe mi przedewszystkiem wyspowiadać się ze wszystkiego! Moja ciotka umarła przed kilku dniami...

Pan Fabian umilkł tutaj.

— Po mieście obiegają rozmaite wieści z tego powodu—mówił dalej.

— Zapewne jest powód do tych wieści—cicho wyszepnęła Michalina nie podnosząc oczu

— Ciotka moja zostawiła znaczny majątek..

— Cyfry rażą mnie w tej chwili!

— Jestem spadkobiercą.

— Dla czego pan o tem ze mną mówisz?

— Bo w takiej sytuacyi człowiek powinien dać się sumiennie odważyć, ile wart jest!

— Niegdyś mówiłeś pan tylko o wewnętrznej istocie człowieka...

— Nie chcę, aby dzisiaj ktoś do niej niepotrzebnie zewnętrzną wagę dorzucał!

— Więc słucham pana!

— Otóż jestem tylko spadkobiercą szlachetnej myśli mojej ciotki!

— Jak to myśli?

— Majątek realny zapisała ciotka na cele publiczne!

— Na cele publiczne... cały majątek!

— Cały!

Michalina zbladła i cofnęła rękę.

Długie milczenie zapanowało w pokoju.

Pan Fabian z rozrzewnieniem patrzał przed siebie; po twarzy Michaliny przechodził jakiś kurcz bolesny, który stłumić usiłowała.

— Widzę,—ozwał się po chwili pan Fabian,— że ta wiadomość sprawiła na pani niedobre wrażenie.

Michalina odetchnęła głęboko.

— Było to tylko wrażenie niespodziewane— odrzekła cicho głosem zmienionym.

— Dla czego niespodziewane? Czy bogobojni ludzie podobnych legatów nie robią?

— Tak... ale zdawało mi się, że nieboszczka powinna była przedewszystkiem pamiętać o swoich krewnych!

Twarz pana Fabiana ożywiła się. Chciał coś powiedzieć; oko jego zapaliło się... ale zacisnął usta i zamilkł.

— Taka była wola nieboszczki!—rzekł po chwili.

— Wola nierozsądna! — mówiła Michalina jakby do myśli swoich.

Pan Fabian nie mógł się teraz wstrzymać. Wyprostował się jak człowiek pewny siebie i rzekł:

— Pozwolisz pani, że tę rzecz bliżej wyjaśnię. Ciotka moja zapisała cały swój majątek wynoszący przeszło półmiliona...

— Pół miliona!

— Tak jest... pół miliona, na cele publiczne. Taka była jej wola i jej postanowienie. Ponieważ zaś ja... z tą wolą jej zupełnie się zgadzam, więc będę w stanie wyjaśnić pani bliżej to postanowienie mojej ciotki.

Michalina siedziała na fotelu jak martwa statua. Oparła głowę o poręcz i zamyślonem okiem patrzała przed siebie.

Pan Fabian zaczął z powagą:

— Ktokolwiekbądź z uwagą przypatrywał się spadkom majątków pochodzących od dalekich krewnych, ten niezawodnie musiał przyjść do przekonania, że pod tym względem w prawie naszem zwyczajowem jest pewna luka...

Michalina z zadziwieniem spojrzała na pana Fabiana. Uśmiech szyderczy zaigrał na jej ustach.

Sumienny obrońca legatu swojej krewnej mówił dalej z niezwalczoną powagą:

— Dzieci mogą mieć słuszne prawo do majątku swoich rodziców. Żyją w tym majątku a czasem przyczyniają się do jego konserwacyi. Jest on już niejako podstawą ich bytu społecznego. Ale inna rzecz z majątkiem dalekich kre-

wnych! Spada on często przez dziwny zbieg okoliczności na ludzi, którzy w innej zupełnie sferze żyją i takiego spadku nawet nigdy się nie spodziewali. I cóż się z taką fortuną zazwyczaj dzieje? Oto spada nagle z nieba ludziom, którzy na nią niczem sobie nie zasłużyli, o niej nawet czasem nie wiedzieli, lub co gorsza, z utęsknieniem i w bezczynności na nią czekali!... Taki porządek rzeczy jest demoralizujący... Próżniak i utracyusz wyczekuje niecierpliwie, nic nie robiąc, śmierci wujaszka lub ciotki, a dostawszy spadek puszcza go najczęściej na cztery wiatry, bo na niego nie pracował, bo pracą osobistą do niego się nie przywiązał!... A często nawet spadek podobny wyrywa poczciwych i pracujących ludzi z przyrodzonej ich sfery i stawia ich na stanowisko tak śmieszne, że tego bynajmniej szczęściem nazwać nie można! Poczciwy i zacny Staszic pojął to dobrze, i dla tego bratu swemu, który był czeladnikiem młynarskim, kupił młyn na własność, przez co wielce go uszczęśliwił, a milionowy swój majątek oddał na cele publiczne!

Michalina zerwała się z fotelu.

— Widać, że to pan podsunąłeś zapewne tę myśl szlachetną swojej krewnej!—rzekła z pewną ironią.

Pan Fabian milczał chwil kilka. Zdaje się, że odbywał z sobą jakąś walkę. Sumienność może kazała mu prawdę powiedzieć, a jednak nie

chciał tego uczynić, aby go znowu nie posądzono o samochwalstwo.

Wybrał więc drogę pośrednią.

— Mówię tylko o testamencie mojej ciotki i objaśniam go,—odpowiedział z powagą.

— Jakiż jest ten cel publiczny, na który poszedł majątek?

— Kształcenie specyalnych rzemieślników za granicą, abyśmy u siebie mogli zaspakajać potrzeby życia!

— I pan zgodziłeś się na to?

— Krewna moja mogła swoim majątkiem rozrządzić jak jej się podobało. Ja na tem nic nie tracę, bo tego spadku nigdy się nie spodziewałem. Mam własną fortunkę, która mi wystarcza.

Michalina zbladła i zacisnęła usta. Przed nią zamiast bogatego konkurenta stał zwykły pan Fabian, ten sam, jakim był przed rokiem, gdy się z niego do pęku śmiała. Wprawdzie miał pan Fabian w tej chwili bardzo ładny wyraz na twarzy, oczy jego świeciły się jasnym blaskiem, ale Michalina tego wszystkiego nie widziała! Co jej po tych wszystkich blaskach duszy, jeżeli po za tem nie ma spodziewanych dostatków?..

Jakże przykre było teraz położenie Michaliny! Nagle usunął się grunt, na którym wszystko budowała! Czemże był dla niej ten człowiek bez spodziewanej sukcessyi?

Możnaby wprost z nim zerwać... ale cóż powiedzą na to ludzie?

Powiedzą, że łapała go, gdy myślała, że będzie bogaty, a dzisiaj odepchnęła go, jak się odpycha jaki przedmiot niepotrzebny, stojący na drodze...

Nie—taka opinia, przy innych jeszcze względach mogłaby jej bardzo, bardzo zaszkodzić!..

Ale cóż zrobić z tym niezdarnym człowiekiem?

Jasna jakaś myśl przebiegła po jej czole...

Z twarzą uśmiechniętą usiadła na fotelu przy panu Fabianie, który na nią patrzał z niepokojem.

— To, co na twarzy pani widzę, zasmuca mnie—rzekł do niej z rozrzewnieniem—czyż po mojej sumiennej spowiedzi mniej wart jestem niżeli przedtem?

— Bynajmniej—odpowiedziała słodko Michalina—zaniepokoiło mnie tylko możliwe nieporozumienie między nami!

— Nieporozumienie?—zapytał z ciekawością pan Fabian.

— Tak jest... nieporozumienie,—mówiła ze spuszczonemi oczyma Michalina—a takie nieporozumienie byłoby dla mnie tem boleśniejsze, im bardziej biedną Ludwikę kocham!

— Mów pani! Mów pani!—wołał pan Fabian.

— Jestem wielką przyjaciółką Luni... robiłam dla niej wiele, bardzo wiele... może więcej niżeli powinnam była... i obawiam się, czy nie dałam jakiego fałszywego pozoru.

— Uchowaj Boże! Pani Ludwice w niczem nie ubliżyłaś!

— Jestem tego przekonania, że pan rozmawiając ze mną, rozmawiałeś tylko... z przyjaciółką Ludwiki!

Pan Fabian był teraz w kłopocie. Jakkolwiek w tej mierze zgadzał się z Michaliną, nie chciał jej jednak wprost ubliżyć.

— Nie tylko do przyjaciółki panny Ludwiki mówiłem—rzekł po chwili,—ale mówiłem także do mojej przyjaciołki!

Michalina ścisnęła go za rękę.

— Ale wszystkie słowa tej przyjaciółki chciej pan odnieść do Ludwiki!—rzekła do niego z wyrazem pewnej obawy.

Pan Fabian patrzał niejakiś czas z zadziwieniem na nią. Mowa jej była dla niego niejasną. Przecież on zawsze tylko Ludwikę miał na myśli, i to, co Michalina mówiła, do niej odnosił!

W przypuszczeniu, że Michalina posądza go o kogo innego, położył rękę na piersi i rzekł:

— Przysięgam na Boga, że nawet w marzeniach nie ubliżyłem nigdy moim wspomnieniom, i pannę Ludwikę kocham tą samą miłością, co dawniej!

Złośliwy uśmiech wykrzywił piękną twarz Michaliny. Pan Fabian ugodził boleśnie jej własną miłość... on nigdy nie był nią zajęty... on tylko przy niej o Ludwice marzył...

Michalina chciała niegrzecznemu konkurentowi jakieś niegrzeczne słowo powiedzieć, ale

przypomniała sobie, że ta wierność pana Fabiana dla Luni jest dzisiaj dla niej jedynem wyjściem z tej przykrej sytuacyi.

Będzie to nietylko wygodnym płaszczem odwrotu od pana Fabiana, ale nawet może mieć pozory pewnego bohaterstwa, że dla przyjaciółki swojej tyle zrobiła, służąc jej za pośrednie ogniwo przyszłego ich związku!

Złośliwy uśmiech zmieniła na uśmiech pogodny, podała małą rączkę z wdziękiem panu Fabianowi i rzekła:

— Powiedziałeś pan, że Lunię kochasz jak dawniej. Dziekuję panu za to szczere wyznanie i upewniam pana, że Lunia tak samo ucieszy się tem wyznaniem, jak ja się teraz cieszę!..

Scisnęła go za rękę serdecznie i „do szczęśliwego zobaczenia" pożegnała.

Gdy uszczęśliwiony pan Fabian po schodach na dół schodził, rzuciła się Michalina na fotel i twarz rękoma zakryła. Kurcz bolesny wzruszał jej piersią, łzy płynęły po twarzy.

Tyle dni, tyle marzeń, tyle snów straconych!..

Sniło się rozkosznie o jaskrawych skrzydłach motylka, a tymczasem gąsienica pozostała gąsienicą!

Michalina zerwala się na nogi. Weszła ciotka, która w drugim pokoju wszystko słyszała.

— Co za nieszczęście!—rzekła i załamała ręce.

— Jeszcze dobrze, że i tak się stało!—odpowiedziała Michalina.

— Ale okazało się, że on o tobie nie myślał!

— To jest najlepsze z tego wszystkiego! To mnie ocali od złych języków!

— Ale czy Lunia zgodzi się na to?

— Trzeba natychmiast iść do niej i ją przygotować!

— Oby ci się udało!

Za chwilę była już Michalina w drodze do Luni.

W domu Luni powtarzała się właśnie scena, która od niejakiego czasu stała na porządku dziennym.

Jedne i te same widma trwożyły teraz nieustannie zasmuconą rodzinę.

Przez kilka lat żyło się w stolicy nad stan majątkowy, zdobyto stosunki nad możność utrzymania się przy nich dłużej, a z tych stosunków nie było dotąd żadnego rezultatu.

Lunia była bez konkurenta.

Fałszywa postawa domu odstraszyła tych, którzyby się do niej zbliżyć chcieli, a nie przyciągnęła innych, których właśnie miano na widoku. Nie brakło wprawdzie na młodzieńcach, którzy dla własnej rozrywki schodzili się na herbatkę; ale, prócz lekkiej szermierki słów i dowcipu, żaden z nich nie pokusił się dalej.

Na tle tak szarego horyzontu pojawiał się

w marzeniach samotnych od czasu do czasu pan Fabian, i jak to już wiadomo, w coraz lepszem oświetleniu.

Powody tego optycznego zjawiska były różne. U Luni wychodziło ono wprost z serca. Doświadczenia nauczyły ją cenić człowieka, który jakkolwiek na pierwszy rzut oka nie oczarowałjej szykiem krawca lub fryzyera, przy bliższem jednak wpatrzeniu okazał prawdziwą zacność rzadkiej dzisiaj prostoty. A że naturą serca ludzkiego jest, przywiązywać się do tego, co się traci a o czem ludzie dobrze mówią, nic więc dziwnego, że Lunia w cichych snach swoich widziała postać pana Fabiana coraz jaśniejszą.

W tem samem położeniu był ojciec Luni, tylko inna droga zaprowadziła go do tego. Świadomość materyalnej pozycyi domu, kazała mu teraz żałować człowieka, który jakkolwiek podług zwykłych światowych wyobrażeń nie był świetną partyą dla jedynaczki, jednak na dzisiejszem bezrybiu był zawsze przyzwoitym okazem.

Najjaśniej przedstawiał się teraz pan Fabian w wyobraźni matki. Matka Luni w danym konkurencie, opromienionym teraz bajeczną schedą, widziała ideał mężczyzny.

Pan Fabian miał więc w domu Luni bardzo korzystną pozycyę i mógł bardzo łatwo do portu szczęścia dopłynąć, gdyby u samej Luni

nie był znalazł przeszkód nieprzezwyciężonych.

A przeszkody te były bardzo naturalne.

Gdy Lunia po długiej walce serca i duszy przekonała się z rozkoszą, że pana Fabiana kochać może, i że go już kocha, stanęła przed nią zmora spadkobierstwa i drogę do szczęścia na zawsze zagrodziła.

Po długim płaczu i nocach bezsennych, przyszła biedna, szlachetna dziewica do tego postanowienia, że lżej jej było zrobić z siebie ofiarę na całe życie, niżeli ściągnąć na siebie brzydki pozór rachunku, że biednemu konkurentowi dała odkosza a zbliżyła się do niego, gdy na niego spadła scheda bogata!..

Powziąwszy to postanowienie, rozpoczęła wewnętrzną trudną pracę rezygnacyi.

Jest już w naturze człowieka, że każdą rezygnacyę, która jego egzystencyi zagraża, usiłuje sobie różnem rozumowaniem a nawet sofisteryą ułatwić.

Tak też stało się i z Lunią. Postanowiwszy zrezygnować z pana Fabiana, zaczęła ułatwiać sobię tę rezygnacyę wmawiając w siebie różne rzeczy. Wyrozumowała sobie, że jeżeli pana Fabiana przy pierwszem oświadczeniu nie kochała, to i teraz nie może i nie powinna go kochać. Na tym gruncie oparła dalszą swoją pracę, a zbierając skrzętnie różne argumenta i argumenciki, wmówiła w siebie, że rzeczywiście pana Fabiana nie kocha, i że o nim wcale myśleć nie potrzebuje!

Jakkolwiek piękna główka Luni z tego zwycięztwa dumną była a nawet śmiało do góry się podniosła, na twarzy jednak coraz więcej blednącej widać było uśmiech melancholijny, jakim zazwyczaj żegna się szczęście ulatujące! Wspomnienie pana Fabiana, wywołane rozmową towarzyską, wywoływało zawsze rumieniec na tę twarz bladą, a z piersi dziewiczej wydobywało się wtedy mimowolne westchnienie, o którem główka nawet nic nie wiedziała!

Mimo rumieńca i westchnień miały jednak usta zawsze odpowiedź spokojną na pogotowiu, która wszelkim przypuszczeniom zaprzeczała.

I w końcu przyszła Lunia do tego w konsekwencyi, że słowom swoim, mimo wewnętrznego protestu, sama wierzyła.

Taka była sytuacya w domu Luni, gdy Michalina wpadła zarumieniona do pokoiku przyjaciołki.

Lunia trzymała właśnie jakąś książkę w ręku i starała się z uwagą jakiś rozdział przeczytać. Trudno jej jednak było zdobyć się na tę uwagę. Myśli wylatywały gdzieś po za książkę... coś się ustawicznie wciskało między oczy i litery, a ruch na ulicy był widocznie dzisiaj wyjątkowy i przeszkadzał czytaniu.

Lunia podparła ręką głowę i zamyśliła się. Jakieś przyjemne marzenia okrasiły jej twarz bladą, patrzała na nie z rozkoszą oczyma duszy, potem posunęła ręką po powietrzu, jakby te złote ptaszki od siebie spłoszyć chciała...

W tej chwili stanęła przed nią Michalina.

Podając rękę Luni, spojrzała z uwagą na nią. Zdaje się, że na twarzy przyjaciółki obaczyła coś korzystnego dla siebie, bo uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Cieszy mnie to,—rzekła z pieszczotą,—że cię widzę w usposobieniu niezwykłem. Są rzeczy, których w chwilach powszednich należycie ocenić nie umiemy.

Lunia spojrzała z zadziwieniem na przyjaciołkę. W tych słowach nie poznawała Michaliny. Podejrzywając ją, że ma znowu ochotę rękę do jej serca włożyć i tam czegoś szukać, zamknęła prędko serce i z twarzą spokojną odrzekła:

— Mylisz się moja droga, zajmują mnie w tej chwili myśli bardzo powszednie! Myślę o tualecie na jutrzejszy wieczór!

— O tualecie myślisz w tej chwili?—gniewnie rzekła Michalina, bo takie myśli mogły jej szyki popsuć—nie spodziewałam się, że ze swojej idealnej wysokości tak nizko zeszłaś!

Smutny uśmiech okolił blade usta Luni.

— Nie przeczę temu, coś powiedziała—rzekła spokojnie—był czas, gdzie bawiłam się w idealne wyżyny... dzisiaj zeszłam na dół realny! Zrównałam się z tobą!

Michalina zacisnęła usta.

Lunia wzięła Michalinę za rękę i spojrzała jej w oczy.

— Cóż ci to jest Misiu, że tak śpiewasz?— zawołała z wesołym śmiechem—przecież się nie zakochałaś bez wzajemności!

Usta Michaliny zadrżały z gniewu. Rola jej stawała się trudną, a nawet nie obiecywała pomyślnego skutku.

— Z niewczesnemi odzywasz się żartami... nie wiesz z czem przyszłam do ciebie!—rzekła po chwili.

— Z czemkolwiekbądź przyszłaś do mnie, zawsze powinno cię to cieszyć, że twoja nauka w las nie poszła! Widzisz, skorzystałam z niej!

— Jaka nauka?

— Nauka... ot aby życie brać lekko... aby zadawalać się drobnemi, codziennemi sukcessami... i nic więcej. W konsekwencyi tej nauki myślałam właśnie o tualecie na jutrzejszy wieczór.

Michalina z zadziwieniem patrzała na Lunię. Dobry humor Luni i tak wyjątkowo usposobienie krzyżowały jej plany i groziły jej wielkiem nieszczęściem. Gdyby bowiem Lunia po raz wtóry pana Fabiana odepchnęła, Michalina straciłaby podstawę swego ratunku w obec opinii publicznej.

Długo patrzała na Lunię. Twarz Luni była tak spokojna, jej rezygnacya tak oczywista, że Michalina o mało nie krzyknęła z rozpaczy.

— Nie pojmuję,—zawołała,—jak można o takich drobnostkach myśleć!

— Drobnostkach?..!. Przecież dawniej nie były to u ciebie drobnostki! Mówiłaś ustawicznie, że każda panna powinna zbierać w około siebie jak najliczniejszy orszak wielbicieli, aby świat o niej nie zapomniał. Czemuż teraz masz mi za złe, że chociaż późno wchodzę na tór twojej nauki?..

— Gniewasz mnie taką mową. Gdybym nie wiedziała, że żartujesz, mogłabym uwierzyć że szydzisz ze mnie!

— Co było przed rokiem rzetelną nauką, nie może za rok stać się—szyderstwem!

— Trzeba się zawsze stosować do położenia!

— Dobrze mówisz! Przed rokiem było moje położenie inne, to też i ja byłam inną. Dzisiaj jest mi wygodnie z tem, czego od ciebie się nauczyłam!

— Nie wierzę temu!

— Weź moją rękę i przekonaj się, jak mi spokojnie pulsa biją! Szczerze ci powiadam, że takie powszednie, drobnostkowe życie jest najlepsze!

— To być nie może!—namiętnie zawołała Michalina—kobieta z tem nie może być szczęśliwą!

— Dla czego?—z zimnym uśmiechem zapytała Lunia.

— Dla tego... że jest kobietą. Kobieta potrzebuje do szczęścia głębszych, szlachetniejszych wzruszeń!

— Żartujesz sobie!... Przecież sama przeciw sobie mówić nie zechcesz?.. Czy przypominasz sobie...

Łzy gniewu błysnęły w oczach Michaliny.

— Proszę cię, nie drażnij mnie taką mową! — rzekła głosem przytłumionym.

Lunia spojrzała w oczy przyjaciółki. Odgarnęła jej włosy z czoła i sympatycznym głosem zapytała:

— Czy masz jaki smutek Michasiu?... Czy może rzeczywiście biedne twoje serduszko... o jakże szczerze lituję się nad tobą! Kobieta nie powinna nigdy na prawdę kochać. Ona powinna tylko tak kochać, aby ta miłość, gdy się przerwie, nie sprawiała jej wielkiego zmartwienia. Kobiety z czasem przychodzą do takiej miłości, ale miłość ta nie jest już—pierwszą!.. Biedna Michasiu! Podejrzywam cię o pierwszą miłość!

Michalina czuła szyderstwo w tych słowach, ale sytuacyi zmienić nie mogła. Plan jej był blizkim rozbicia, a wstyd i hańba nieunikniona!

Gorący strumień łez puścił się z jej oczu.

— Jesteś okrutna—rzekła wśród łkania—tak okrutnie pastwisz się nademną... a przecież ja jestem tobie tak życzliwą!...

— Zlituj się—odparła szybko Lunia—powiedz mi co ci jest... powiedz wszystko!

— Przedewszystkiem chcę cię widzieć w innem usposobieniu!

— W jakiem?

— W takiem, w jakiem cię dawniej widywałam!

— Nie rozumiem ciebie.

— Chcę abyś weszła w siebie, w głębię serca swego i tam szukała owych pięknych i szlachetnych marzeń, bez jakich kobieta szczęśliwą być nie może!

— Dziwi mnie twoje żądanie. Po różnych doświadczeniach bolesnych chcesz, abym się stała znowu jak dawniej niedoświadczoną! Któż wraca do dziecinnych mrzonek!

— Są wspomnienia, których mrzonkami nazywać nie można!

— Jeżeli nie weszły w rzeczywiste życie nasze, jest to dowodem, że były i pozostać muszą mrzonkami!

— Przecież warunki życia zmieniają się.

— A wraz z dawnemi warunkami przepadają dawne marzenia.

— Są przecież pewne uczucia nieśmiertelne!

— Dziękuję ci za taką nieśmiertelność, jeżeli ona tylko przy pewnych warunkach żyć może.

— Wyrządzasz krzywdę sobie i drugiej osobie.

— Krzywdę?.. sobie i drugiej osobie?..

— Przecież sama wyznałaś mi ongi, żeś kochała...

— Żem kochała?... Być może... ale było to tylko złudzenie... nic więcej.

— Nie było złudzeniem!—zawołała spazma-

tycznie Michalina, widząc, że jej plan zupełnie się urywa.

Lunia nie mogła jej zrozumieć. Natrętność przyjaciołki zaczęła jej na prawdę dokuczać. Postanowiła szczelnie zamknąć serce swoje i być zimną i obojętną, tak jak to już od niejakiego czasu praktykowała. Zimno i obojętnie rzekła do Michaliny:

— Jeżeli mnie prawdziwie kochasz, daj pokój wszystkim moim wspomnieniom, z któremi dawno rozbrat wzięłam. Nic mnie one dzisiaj nie obchodzą, a jeżeli szczerze mam ci powiedzieć, sprawiają mi przykrość. Porzućmy ten przedmiot.

— Nie wierzę, abyś była okrutną dla drugiej osoby.

— O kimże mówisz?

— O panu Fabianie.

Lunia rozśmiała się na całe gardło. Śmiech jej był szczery i serdeczny. Lekkiego dyssonansu nie dostrzegła w tej chwili Michalina.

— O panu Fabianie! cha, cha, cha! Zapomniałam nawet jak pan Fabian wygląda! Mówią, że się postarzał.

Michalina spojrzała z przestrachem na Lunię.

— Tak zimno mówisz o człowieku, który cię kochał nad życie?..

— Kochał nad życie?.. Przecież sama przed rokiem mówiłaś inaczej. Śmiałaś się z niego.

Michalina przygryzła usta aż do krwi.

— Wyrządziłam mu wielką krzywdę! On cię rzeczywiście kochał całą duszą. Takiej drugiej miłości nie znajdziesz.

Blade usta Luni zadrgały nieznacznie. Zatrzymała oddech.

— Żartujesz sobie—rzekła po chwili spokojnie—mówmy o czem innem. Nie lubię wracać do wspomnień, które dzisiaj poprostu wydają mi się bardzo śmieszne.

— Więc pana Fabiana nie kochasz?—krzyknęła z rozpaczą Michalina.

— Jak chcesz, żebym go kochała dzisiaj, jeżelim go pierwej nie kochała?—ze śmiechem odpowiedziała Lunia i zdziwiona wzięła za rękę przyjaciołkę.

— Nie poznaję cię dzisiaj—rzekła—cóż ci na tem zależy, abym pana Fabiana kochała?

— Wiele, bardzo wiele mi na tem zależy!

— To być w żaden sposób nie może. Czyż chcesz abym się poprostu sprzedała?

— Sprzedała? Dla czego sprzedała?

— Przecież... przecież pan Fabian... jest dzisiaj tak bogaty!

Kurczowy uśmiech przebiegł po twarzy Michaliny.

— Bogaty?.. On nie jest bogaty!

— Nie jest bogaty?... Przecież nieboszczka...

—Nieboszczka krewna jego zapisała cały swój majątek na cele publiczne.

— Jak to?—krzyknęła Lunia, a twarz jej po-

czerwieniała—pan Fabian nie otrzymał spadkobierstwa?..

— Mówią, że sam zrzekł się schedy!

Twarz Luni bladła i rumieniła się, pierś jej falowała jak wody wzburzone, brak jej było tchu, brak powietrza...

W tej chwili otworzyły się drzwi, a służący zapowiedział pana Fabiana.

Reszty domyśli się czytelnik.

Dodać jednak muszę, że praca Michaliny nie była jeszcze skończona. Wiele jeszcze łez, zaklęć i pieszczot kosztowało protektorkę pana Fabiana, nim tenże mógł zająć dawne stanowisko konkurenta.

Dopiero gdy Lunia przekonała się, że pan Fabian jest tym samym co dawniej; gdy dowiedziała się, że legat krewnej przyszedł do skutku za wyraźną pana Fabiana namową, o czem pan Pafnucy i swiadkowie nie omieszkali w sekrecie opinię publiczną oświecić: wtedy dopiero upokorzyła się harda dusza Luni przed człowiekiem, który w tej chwili stanął wyżej od niej!...

Biedna Michalina! Czy nie widziała ona w tem kary za swoje postępowanie, że własnemi rękami i własnym kosztem musiała teraz dopomagać do dzieła, którego niegdyś tak wielką była nieprzyjaciołką?

Rodzice Luni, nauczeni smutnem doświadczeniem, zniżyli teraz, jak im się zdawało, wymagania swoje i chętnie zgodzili się na wolny wybór córki.

Matce tylko trochę przykro było, że córka nie tak świetnie za mąż wychodzi, jak o tem dawniej marzyła...

Ślub odbył się u Św. Krzyża a licznie zgromadzona publiczność z ciekawością patrzała na człowieka, który półmilionowym spadkiem wzgardził dla dobra publicznego, i sam się nawet do tego nie przyznał.

Luni zdawało się, że bierze ślub z człowiewiek niezwyczajnym, bo tak wyraźnie mówiły spojrzenia obecnych.

Było to dla niej wielkiem, niesłychanem szczęściem.

Nikt nie był w tej chwili dla niej piękniejszy nad Fabiana.

Czystym, donośnym głosem przysięgła mu *miłość i wierność aż do śmierci.*

Czy druhna jej, Michalina, pójdzie prędko w jej ślady?

Nie wiem.

Drużba pana młodego, przyjaciel dłużnik, coś bardzo często przez szkiełko na nią patrzy.. a że to jest człowiek z szykiem i ma znakomity talent pożyczania pieniędzy... kto wie, co się stać może...

Pożyczane a z szykiem wydawane pieniądze bardzo się podobają niektórym pannom.

Do zobaczenia!

Kraków 1874.

268798
UNIWERSYTET W BIAŁYMSTOKU BIBLIOTEKA GŁÓWNA